

HENRYK J. RYGIER

WALKA ROMANTYKÓW I KLASYKÓW

ODRĘCZNIK POMOCNICZY PRZY BADANIU
ZIEJÓW LITERATURY POLSKIEJ



WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

HENRYK J. RYGIER

W A L K A ROMANTYKÓW I KLASYKÓW

PODRĘCZNIK POMOCNICZY PRZY BADANIU
DZIEJÓW LITERATURY POLSKIEJ



*Z księgozbioru
Stefana Wierzyńskiego*

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

Stefan Wierzyński

Przedmowa.	1
Z „Obozu klasyków”	3
Kilka słów o okresie klasycznym w literaturze polskiej	39
Stanowisko Brodzińskiego i Mickiewicza w walce romantyków i klasyków	45
Kazimierz Brodziński. O klasyczności i romantyczności tudzież uwagi nad duchem poezji polskiej (1818). (Wyjątki).	59
Adam Mickiewicz. O krytykach i recenzentach warszawskich. (1829). (Wyjątek).	69
Maurycy Mochnacki. O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym (1830). Wyjątki.	72
Adam Mickiewicz. Rzecz o literaturze Słowiańskiej wykładana w kolegium francuskim. (Wyjątki)	82
Początki romantyzmu	93
Kilka słów o romantyczności polskiej	95



194262

16-87/89

PRZEDMOWA.

Przystępując do ułożenia „Wypisów krytycznych”, pierwszego w tym rodzaju polskiego podręcznika szkolnego, zdaję sobie odrazu sprawę, że musi znaleźć się w nich trochę niedokładności i braków. Oczekuję też od krytyki fachowej uwag rzeczowych, które mogą być pomocne przy dalszym opracowywaniu „Wypisów”.

Potrzeba tego podręcznika jest, zdaniem moim, ogromna. Metoda rozumowa zwycięża w nauczaniu szkolnym z dniem każdym, a wraz z tym i literatura podręcznikowa musi osiąść odmienną, niż dotychczas fizjognomję. Schodząca już z pola metoda pamięciowa stawiała na pierwszym planie systematycznie ułożone podręczniki, których zawartość uczeń względnie łatwo mógł „zapamiętać”. Obecnie, gdzie się tylko to daje, starają się zerwać z podręcznikiem, jako z jedynym źródłem wiedzy.

Ten właśnie prąd odczuwamy i w zakresie wykładów historii literatury polskiej. Znajomość literatury krytycznej staje się coraz bardziej niezbędną dla młodzieży, a dostęp do niej jest prawie że niemożliwy, ponieważ literatura ta rozrzucona jest w rocznikach rozmaitych czasopism ogólnych i specjalnych, w ogromnej ilości wydawnictw książkowych i t. p. To też dotychczas, oprócz podręcznika historii literatury, jedynymi źródłami wiedzy uczniowskiej jest znajomość autorów badanych oraz dyskusja z nauczycielem. O ile jednak dyskusje takie mogłyby być pożyteczniejsze i poważniejsze, gdyby młodzież miała dostęp do krytycznych poglądów literackich rozmaitych znawców naszej literatury!

Tej właśnie potrzebie pogłębienia krytycznych sądów ucznia na dzieje naszej literatury staram się zadośćuczynić przez ułożenie niniejszych „Wypisów krytycznych”, na które składają się najcelniejsze prace dotyczące historii literatury pol-

skiej, a podane bądź w całości, bądź w wyjątkach i streszczeniach.

Przy układaniu podręcznika napotykałem na liczne trudności. Objętość wydawnictwa zmuszała mnie do usuwania nieraz ważnych prac; cel — przeznaczenie dla młodzieży, niezawsze przygotowanej do ogarnięcia zagadnień zbyt skomplikowanych, również zmuszał mnie do opuszczania cennych monografii. Musiałem więc dostosowywać się do poziomu umysłowego młodzieży i do objętości dzieła. Ta druga przyczyna zmusiła mnie do bardzo rzadkiego podawania wyjątków z historii literatury polskiej, gdyż dzieła te są naogół dostępnejsze dla szerszej publiczności.

„Wypisy krytyczne” obejmą literaturę krytyczną w wyjątkach w zakresie kursu średnich zakładów naukowych. Uznając za najpilniejszą potrzebę oświecenie literatury romantycznej, rozpoczynam wydawnictwo od tomu drugiego.

Dla udostępnienia „Wypisy” wydawać będziemy zeszytami, które nabywać można oddzielnie.

H. J. Rygier.

Warszawa, 1908 r.

Z „Obozu klasyków“

Lucjana Siemińskiego.

Wojna klasyków z romantykami jest to pierwszy spór literacki, jaki przeniósł się z zagranicy i do naszej literatury. Dawniejsze spory z XVII i XVIII wieku nie dostały się do nas. Czemu? bo ani czasopism literackich nie było, ani też literaci nie tworzyli osobnego ciała. Nawet nie istniało nazwisko literata. Ten był ziemianinem, ten księdzem, ten kanclerzem, ten hetmanem, — a jeżeli pisał, to nie w zamiarze, żeby być policzonym do tej lub innej szkoły. Właściwie koło literatów sformowało się dopiero na dworze Stanisława Augusta i utworzyło nową szkołę, która nie potrzebowała z literatami, reprezentującymi dawną epokę republikańską, staczać walk na polu teorii, z prostej przyczyny, że, zastawszy przysposobione umysły, miała opinię po sobie. Tamci szli w zapomnienie, ci używali więtości i protekcji, dopóki przeciw tym nowatorom wyczerpanym już i zużytym nie zaprotestował w pierwszych dwudziestu latach XIX wieku romantyzm.

Tradycja literatury stanisławowskiej najuparciej przechowywała się w Warszawie i miała tam główny swój obóz, nad którym powiewała chorągiew dobrego gustu. Jak turcy Koran, tak oni narzucali swój kodeks gustu, którego cała estetyczna tajemnica zasadzała się na tym, żeby nic takiego nie powiedzieć, coby się nie znalazło w pisarzach, podanych za wzór dobrego smaku. Ktokolwiek zdobył się na niezwykle wyrażenie, lub ze śmielszą a mniej spowszechniałą myślą wystąpił, srodze bywał karcony przez tych arcykapłanów świątyni gustu, wprowadzie nie po pismach publicznych (nie lubili bowiem wdawać się w drukowane rozumowania), lecz na koteryjnych zebraniach, gdzie niemiłosiernie przedrwiwano wykraczających przeciw kodeksowi, a głównie w poufnych literackich korespondencjach, tworzących nieoszacowany materiał, dający po-

znać ich sposób sądzenia utworów romantycznej szkoły, a wogóle stan pojęć literackich.

Szczęśliwy przypadek rzucił w moje ręce kilkaset listów, obejmujących perjęd najzwawszej walki między klasykami a romantykami, to jest od r. 1823 do 1830. Są to korespondencje samych koryfeuszów tak zwanego klasycznego obozu. Koterja kilku poetów z czasów Księstwa Warszawskiego, składająca się z ludzi, zajmujących wysokie urzędy, głośnych dawniej nabytą sławą, miała się za jedynie godnych i uprzywilejowanych mieszkańców Parnasu, tak dalece, że wprzód jeszcze, nim romantyzm u nas się zjawił, oni, stojąc na szczycie rymotwórczej góry, każdego śmiałka, wdzierającego się w ich szaniec, niemiłosiernie spychali na łeb, na szyję. Przywłaszczwszy sobie monopol rymów, przedrwiwali całą gienację młodych pisarzy i potępiali ryczałtem, nie odróżniając nawet tych, co zaświecili lepszym talentem. Satyra pod napisem Nowy Parnas, wymierzona na młodych poetów, uderza najzjadlej na Antoniego Góreckiego, który rzeczywiście więcej miał ognia i czucia, niż te suzereny parnaskiego zamku. Nie poznano się na nim, a może dlatego, że się poznano i obawiano o swój monopol, skartaczowano go takimi rymami:

Góreckil ciebie pierwszym nowy Parnas głosił
Tyś wielkie imię twoje w samym lat twych kwiecie
Szeroką sławą swoją rozgłosił po świecie,
I gdzie nigdy nie dosiagnął Koźmian i Osiński,
Tam ciebie z chmurą wieszczu wzniosł twój zapal piński.¹⁾
Śpiesz się w swoim zawodzie obfity Antoni,
Patrzaj, ilu poetów za twą sławą goni!

Tu następuje cała litanja młodych pisarzy, z których każdy dostał po palcach, ale którzy, o ile sobie dziś przypominam, nie pisali gorzej od monopolistów, a więcej może od nich mieli świeżości. Nie mogę jednak powiedzieć, żeby ta satyra wychodziła z fałszywego punktu widzenia; owszem, początek jej wyborny uderzał w tę manję wierszowania, napastującą naszą młodzież, manję, która zawodnym najczęściej laurom parnaskim poświęca zdolności, mogące się lepiej przydać w jakim pożytecznym zawodzie:

Cóż to, czy mało cudów widzieliśmy jeszcze?
Całaż to młódz sarmacka zamieni się w wieszczu,
I, wieczny cios zadając prozie słowianina,
Najpospolitszą nawet rymem poprzecina?

¹⁾ Uważałem to, że klasycy nie mogli przebaczyć litwinom, że się rwali do polskiej poezji; ciągle im wyrzucali ich pochodzenie pińskie lub smorgońskie. Niestychany monopol w sferze umysłowej!

Można sobie wyobrazić, jakie oburzenie się, jakie gniewy powstały w gronie tych powag, kiedy zjawił się ów dziwotwór romantyczny („Dziady“ Mickiewicza), do którego zaraz przystosowano początek listu do Pizonów:

Humano capiti cervicem pictor equinam
Jungere si velit . . .¹⁾

a powtarzano chórem: *Risum teneatis amici!*

I śmiano się i dowcipkowano, nicując każde słowo, każdy niezwykle rym, każde silniejsze wyrażenie, każde nowe dla nich porównanie, wzięte z natury i z życia, a nie z którego dawnego poety, okradzonego już z miljon razy. Kiedy tak poważne wyroczenie w rzeczach gustu odzywały się z potępieniem, publiczność także nieobeznana z nowością, wierzyła na słowo mistrzom, i stąd czy to w miejscach publicznych, czy w mniejszych lub większych towarzystwach, czy nawet w kółku domowym, wszędzie wrzał bój zacięty starszych, idących za powagą klasyków uprzywilejowanych, z młodszymi, stawającymi w obronie romantyzmu. Myliłby się, kto by tę wojnę lokalizował tylko do stolicy i do osób, bawiących się literaturą i piórem; nie było bowiem tak zapadłego kąta, gdzieby nie stawały przeciw sobie te dwa obozy, gdzieby obok argumentów wogóle i z jednej i z drugiej strony bardzo słabych, nie ciskano sobie w oczy jakim dowcipnym słówkiem Osińskiego, roznoszonym po kraju, lub jaką ciętszą jeszcze repliką romantyków.

Starzy, wychowani w tradycji epoki stanisławowskiej, która stworzyła u nas oświatę nowożytną, widzieli zamach na świętości narodowe, jeżeli ktoś miał uwłaczać zasługom Krasickich, Trembeckich, Naruszewiczów i nowszych, jak: Dmochowski, tłómacz Iliady, Osiński, Koźmian, Molski, Wężyk, Kropiński, Feleński, których uważano jako kontynuatorów tego wieku odrodzenia, tym bardziej, gdy z temi pisarzami łączy się wspomnienie napoleońskie, uchodzące za rodzaj liberalnej opozycji. Przypominam sobie nieraz, z jaką litosną wzgardą cedzono przez zęby, jakby trudno było przełknąć nazwiska romantyków, objając się po raz pierwszy o uszy starszych, a przez zapal młodzieńczy podnoszone do wysokości cudów świata. Gdy zaś dla poparcia twierdzeń przyszło do sprezentowania dokumentu romantycznego, była nim zwykle jaka ballada, wzięta z gminnego podania, pełna upiórów i duchów, gminnych wyrażen i porównań, co wszystko dawało pole wyznawcom klasycyzmu do żartów i szydeł z tej karczemnej, podkadzielnej, jak ją nazywano, poezji.

¹⁾ Zupełnie, jakby malarz chciał dorobić szyję końską do głowy lułkiej.

Młodzież więc była celem szyderczych pocisków starszyny; a choć się odcinała—przedrwiwając nawzajem wiersze klasyków i pokazując im stronę czczą i deklamacyjną,—nie miała jednak ani dosyć wiadomości, ani wytrawnego zdania, aby mogła rozumnymi argumentami przekonać przeciwników. Zapał i uczciwość—to był cały jej arsenał. Wreszcie choćby się i znalazł był taki, co, dobrze rzecz zgłębiwszy, umiał ściśle wykazać przyczyny i dążenia tej rozwijającej się epoki nowych wyobrażeń w literaturze—to nie byłby przekonał przeciwników, tak samo nie rozumiejących klasycyzmu, jak ci nie rozumieli romantyzmu. Najwyborniej też zdefiniował oba te obozy Michał Grabowski, który takie słowa włożył w usta pana Kościeszki („Literackie przygody pana Kościeszki”):

„Interesy zbliżyły mnie z arystokratyczną literaturą klasyczną (w Warszawie). Przypadek zdarzył, żem się zetknął z prozelitami przemian, wylęgających się w ostatnich szykach piśmiennictwa. Tam w górze nie wiedziano nic jeszcze o tym, i ja sam tak byłem zdziwiony, odkrywając romantyków warszawskich, jak być mógł poganin w Rzymie, kiedy się dowiedział o schadzkach chrześcijańskich po katakumbach i grobach. Rzetelne stosunki dwóch literatur względem siebie były te same, co tamtych dwóch religii. Pierwsza była literatura wielkich i uczonych świata, druga gminu i nieznaney młodzieży. Pierwsza dzieliła się na dwie, jedyne kategorie, panów i pieczenia-ry; drugą składali poeci w łupince, tłumacze romansów i redaktorowie pism, wychodzących tylko w prospektach. Żywiołem pierwszego koła było szyderstwo, pochlebstwo i zamniemanie; drugiego—entuzjazm, niewiedomość i znów zamniemanie.”

Wybornie! bo prawdziwie.

Z niezmiernie obfitej korespondencji, jaką mam przed sobą, ten a nie inny da się wyprowadzić wniosek Powagi klasyczne wierzyły więcej w swoją powagę i nabytą sławę, niż ubiegały się o gruntowne zbadanie i przedstawienie tej kwestji, a że pojawiające się pisma romantyków, mianowicie Mickiewicza, muzę ich dyskredytowały i zapędzały w cień, więc budziła się w nich namiętna zazdrość, chuda w rozumowanie i dowody, lecz kłująca zjadale.

W dzisiejszym czasie takie stronnictwo klasyków, jak było wtedy, niezawodnie założyłoby zaraz dziennik lub kilka dzienników, mających być jego organem; lecz przed laty czterdziestu mieć swój dziennik było aktem nadzwyczajnego wysiłku i odwagi, a na tej zupełnie zbywało klasycznym koryfeuszom. Poprzedstawiali więc na ustnej propagandzie i walce, na znoszeniach się listownych, na wierszykach czytanych w pofu-ny kole zgromadzeń herbacianych, gdzie się wzajemnie admirowano, i na czwartkowych obiadach u generała Wincentego

Krasińskiego, który jako gospodarz zachowywał rolę neutralną i zapraszał do swego stołu tak powagi klasyczne, jak odznaczające się talenty z obozu romantycznego.

Na tych głośnych w swoim czasie obiadach bywał zwykle Niemcewicz, Koźmian, Osiński, niekiedy generał Franciszek Morawski, Brodziński, Salezy Dmochowski, Dominik Lisiecki, Witwicki, Odyniec, Gaszyński i wielu innych młodych romantyków, w miarę jak który, dawszy się już poznać, przybył do stolicy. Wszakże główny zastęp współbiedników generała składał się z falangi klasyków, których łączyła z nim dawna znajomość lub przyjaźń, niemniej odpowiednie w świecie towarzyskim lub urzędowym stanowisko.

Gospodarz uczonych obiadów, wierny zasadzie neutralności, zapraszał reprezentantów obu szkół i zwykle podjudzał jednych przeciw drugim, z czego wszczynaly się z początku żwawe dysputy, przeplatane każdą potrawą; a na wety wywiązywała się zjadła kłótnia, ubliżająca nieraz dostojności i powadze tego lub innego klasyka, który sobie poprzysięgał więcej nogą nie wstąpić w dom generała.

Zdarzało się często, iż w samym głównym sztabie klasyków zakradała się taka niezgoda, jak między greckie wodze w obozie pod Troją. W wyobrażeniach ich i skłonnościach były liczne cieniowania. Jeżeli Kajetan Koźmian i Osiński stali na czele wyprawy, jak Agamemnon i Menelaus, niewzruszeni i poważni, jak wyrocznia gromiący,—to Franciszek Morawski, najzdolniejszy i najpochopniejszy z nich do pióra, najśmielszy i najwięcej mający poetycznych instynktów, miewał swoje humory, jak Achilles, i często dla romantycznej Bryzeidy pałał nieudaną miłością. Byłby może nawet przeszedł do przeciwnego obozu, ale osobiste stosunki łączyły go z głównymi wodzami, którzy ze swojej strony umieli go trzymać zakłębem w imię dobrego gustu, a przywiązywała nawyczka do manieri francuskiej, której zawdzięczał pierwsze swoje powodzenie na polu literackim.

Korespondencje, z których zamierzylem podać wyciągi, najlepiej te stosunki wyjaśnią, a zarazem dadzą miarę o stanie wyobrażeń literackich, znamionujących ten okres najgorętszej walki między klasykami a romantykami.

Generał Morawski z brygadą swoją piechoty stał wten-czas to w Lublinie, to w Radomiu; tylko podczas obozowania pod Powązkami przebywał częściej w Warszawie. Kajetan Koźmian, radca stanu, stale zamieszkiwał stolicę, a będąc w toku literackiego ruchu, donosił o nim Morawskiemu i nawzajem od niego odbierał sposkrzeżenia i uwagi. Czasami Koźmiana wyręczał syn jego Andrzej, młodzieniec oddający się literaturze,

bardzo en vogue w salonach stolicy, a przytym stykający się z młodzieżą akademicką i romantycznymi kółkami. Morawski pełny dowcipu umiał ożywiać swoje listy wybornymi często conceptami i wierszykami, — biegały też one z rąk do rąk po całej Warszawie, a wyrwane z nich zdania lub trafne słówka służyły nieraz stronom wojującym za oręż, jakim się wzajemnie trapiło. Wogóle miał on najwięcej pocucia poetyckiego, i za ukazaniem się pierwszych dwóch tomików Mickiewicza, uległ wrażeń, lubo broni się od niego, krytykując wyrażenia i niejasność. Zobaczmy, co z tego powodu pisze do Kajetana Koźmiana.

13 sierpnia 1824 r. z Lublina: „Przeczytałem już ze trzy księgi, między innymi Mickiewicza. Niezaprzeczony ma talent, ale kto chce nowy rodzaj wprowadzić, trzeba go okazać w całej doskonałości, inaczej odrazi. Ballady jego mimo wad języka są przyjemniejszymi tworem; Gryzelda (nawet tytuł Grażyny przekreślił) nudna, a Dziady tak w swoich wyobrażeniach subtelne, niedociekłe, iż ciągle dorozumiewając się, niczego nakoniec nie rozumiałem. Czyż to tak bardzo trudno pisać naturalnie i jasno?

„Z rozkoszą Mickiewicza piękne płody słyszę,
Lecz w swoich chmurnych Dziadach tak mi ciemno pisze,
Iż zda się, że, chwytając same cienie myśli,
Cień wieszczą, cieniem pióra, cienie wierszów kręśli...”

Klasyk uciekł się, jak widzimy, do znanego conceptu Scarrona z jego trawestowanej Eneidy, gdzie cień furmana cieniem szczotki czyści cień karety. Mimo to Morawski, mający znajomość pisarzy angielskich i niemieckich, unosił się nad Byron'em i Schiller'em w listach do Koźmiana i występował w obronie romantyzmu, na co tenże piorunował w swoich odpowiedziach, których jednak nie znajduję w zbiorze listów, ma się rozumieć z tej daty.

Morawski pod datą 14 grudnia 1824 r. tak tłumaczy się Kaj. Koźmianowi ze swoich romantycznych sympatii:

„Wpadłeś na mnie i to niesłusznie za romantyzm. Nie bronię ja tego, co jest dziwaczne, głupie i podłe; lecz nie w rodzaju romantycznym dostrzegam ja tego, tylko w dziełkach tych autorów, którzy, pisząc w tym rodzaju, pośliznęli się jako w niebezpiecznym zawodzie. Zresztą cytujesz mi Witwickiego, jako romantyka; a gdybym ja też, jako klasyka, zacytował Przybylskiego, boć pewno nie był ten romantykiem, co wszystkich klasyków tłumaczyć? Podobnobyśmy obaj dopuścili się grzechu przesady, i mógłby nam kto z boku powiedzieć, że

religję winimy o zbrodnię fanatyzmu, a wolność o morderstwa rewolucji francuskiej. Nie możesz przecie rozsądnie utrzymywać, że Ossjan, Szekspir, Byron, Schiller byli zupełnie głupi, a ci wszyscy, co im się dziwią, stokroć głupszy, choć w tej liczbie są już i wieki i całe ludy. Niel takiego zagorzałego zdania powiedzieć nie byłbyś zdolny; musisz więc przyznać, że mieli gienjusz, a kto zna ich pisma, ten zapewne przyzna, że właśnie było w charakterze takich gienjuszów tak a nie inaczej pisać”.

„Popełniali wprawdzie niekiedy wielkie dziwactwa, lecz byłoby to w mocy natury ludzkiej utrzymać się zawsze na szczycie nadludzkiej wielkości, wreszcie lepiej byłoby, gdyby ich pisma spalono? Nie byłoby wprawdzie tych dziwactw, lecz ileż to także stracilibyśmy nadzwyczajnych piękności! Nie należy dla drugich przebaczać, zwłaszcza gdy już od tylu wieków czekaliśmy napróżno od klasyków nowych piękności, a oni zawsze nam odpowiadali, aby już się niczego po nich nie spodziewać, lecz w Horacego tylko wiecznie wlepić oczy, bo on jest całym światem, granicą natury, imaginacji, i że zbrodnią jest śmieć przechodzić za okładki dzieł jego. Uparli się klasycy żadnych od kilku wieków nie tworzyć piękności; nie dziw więc, że świat chciwy nowego, nie mając nic od jednych, rzucił się do drugich, a potem jakże chęć nowości przytłumić? Gdybyś się tydzień tylko samemi ananasami karmił, znalazłbyś później, że ziemniaki nawet znaczniesze. Umiarkowanie, wołacie, w polityce, czemu nie w literaturze? Nie zwalczyście już tak romantyzmu, aby zupełnie zagaść. Nie lepiej tych braci obłąkanych zbyt zapędem zwracać łagodnie na bezpieczniejszą drogę, szanować ich chęć oryginalności, bo ta wiele skarbów zdobyła, lecz zwracać ją powoli do granic prawdopodobieństwa, pożyczyć od nich śmiałości, siły i ognia, a nawzajem udzielić zimniejszej rozwagi i doświadczenia wieków; dozwolić im, aby nie gardzili naturą niższą od tej, która jest w salonach i na tronach, i aby mogli w wiejskich balladach kłaść wiejskie wyobrażenia, powieści i dумы, jak Koźmian w wiejskim poemacie mówi o wiejskim wieprzu, gęsi i szczypiorze. Nie wiem, czemuś ziemniaka nie odważył się nazwać, czyż klasyczność ma szczypiora za poetyczniejszą?”

Morawski w tejże materji pisze z daty 16 grudnia 1824 r. do generała Wincentego Krasińskiego, wspólnego ich przyjaciela, lecz przystępniejszego romantyzmowi, niż Koźmian:

„Cezar, bijąc nieprzyjaciół Rzymu, przejmował od nich i przenosił do siebie wiele zwyczajów i rzeczy, które może za lepsze uznał. Tak robi i Koźmian. Gromi romantyków, a już niejeden wyraz, niejeden obraz Ziemiaństwa w ramach klasycznych romantycznym świetnie kolorytem. Może dożyjemy

jeszcze tych błogich czasów, że odłączając jednych tożsamość i przesady, a ukracając dziwactwa drugich, sam się stanie punktem łączącym te dwa rodzaje i wołać będzie: „Do mnie! do mnie! in medio virtus.” Cały świat się zdziwi; Gawdzicki ¹⁾ nawet krzyknie: „Kyrie elejson!” Tysiąc ballad zabrzmi, a stary Śniadecki, trzęsąc się z gniewu, będzie musiał patrzeć przez swoją lornetkę, jak Ossjan i Homer poniosą Koźmiana na pola Elizeju; Szekspir go powita, a Byron uwieńczy. Co do Osińskiego, ten dlatego zdaje się milczeć, że nie może się jeszcze zdecydować, jak dalej kontynuować swój zawód: czy klasycznie, czy romantycznie? A jeżeli tak ob staje przy dawnych maksymach, toć naturalnie dlatego, że trzeba tych wynosić, których się przekładało, gdyż to dowodzi gustu i rozsądku w wyborze. Nil est desperandum, gienerale, czy rozsądek, czy też jaki pociąg mimowolny do oczywistości, już ich zaczyna zbliżać do zgody, a nie trzeba temu wierzyć, co mówią, bo wszystko biorąc od greków, przejęli także i cokolwiek fałszu ulissowego. Mimo wszelkich niedorzeczności Mickiewicza, zazdroszczą mu oni skrycie niektórych ballad, umiejają cenić bogactwo farb poetycznych w Świteziance, tego tylko żalują, że wzoru do Twardowskiego nie widzą w Pindarze; umiejają już nakonec położyć różnicę między Mickiewiczem a Witwickim, choć obaj pisali w tym samym i zakazanym rodzaju; uznają wreszcie, że mogą być lepsze i gorsze ballady, co już niemałym jest krokiem do porozumienia się. Niech przecie gienerał nie powiada im o tym, bo, jakby się pomiarkowali, gotowiby z przestachu na dwa wieki w tył odskoczyć.

„.....Romantyzm będący jeszcze na nieutartej drodze, raz w zbytnią idealność, drugi raz w zbytnią gminność wpada. Co do tego ostatniego błędu Koźmian najlepiej na dobrą drogę naprowadza, bo zstępując aż do wieprza i kartofli w swoim Ziemiaństwie, jeszcze niepospolitym umie być poetą. On więc za wzór służyć powinien romantykowi, jakim sposobem najniższe przedmioty wciągać w państwo poezji i uzacniać je szlachetnością wyrażen i pięknnością kolorytu. Oddam mu więc tę pochwałę, że Ziemiaństwo wiele się przysłuży do wykształcenia romantyków. Wiem ja, iż wolałby być posadzony o Alkoran i Biblię Lutra, niż o romantyzm; ale cóż ja temu

¹⁾ O tym Gawdzickim wspomina często Morawski w swoich listach, jak siedzi mu nad głową i prosi o poprawienie jego tłumaczenia Ałalji z Rasyna. Morawski dla utrzymania honoru klasyczności przerabiał po paręset wierszy w każdym akcie.

winien, że go na każdej znajduje karcie: czary, widma, duchy, zabobony, tradycje miejscowe, obyczaje narodowe i najgminniejsze przedmioty? Powie on, że w Wergiljuszu i Tassie to samo się znajduje; lecz nie życzyłbym użyć tego dowodu na zgębnienie romantyzmu; bo mogłoby się okazać, że romantyzm ten jest w naturze poezji, ponieważ już wówczas w najklasyczniejszych przebiegał się pisarzach. Jak więc był medecin malgré lui, tak Koźmian musi być romantique malgré lui.

W innym liście z późniejszej daty nie poprzestaje wyśmiewać klasyków, powołujących się zawsze i wszędzie na powagę Horacjusza: „bo nietylko czuć i myśleć bez niego, ale gadać nawet bez słów jego nie można” ¹⁾. „Z tym wszystkim dla dowiedzenia Koźmianowi, że można wielbić Schiller’a i dziwić się Horacemu, i że nie chcę kłaść, tak jak on monopolium na literaturę i sztuki, przyrzekłem należeć w części do przekładu wiersza De arte poetica; tym chętniej to nawet czynię, że sam Horacjusz tym wierszem na wiele przesądów klasyków nowoczesnych pomocne niesie lekarstwo. Jest to Biblja druga, z której nasi klasycy robią Talmud; chociaż prawdy jej są tak święte, czyste, jasne i proste, każdy naciąga sens do swego widzimisie; może i ja tak czynię w części, lecz przynajmniej mam dobroduszną przyznania się do tego; oni zaś wszelkie tłumaczenie odrzucają, które się nie zgadza z ich widzeniem w literaturze, a zwłaszcza z ich dziełami, gdyż tu jest cały powód tak zaciętego ich oporu.”

Odkąd zaczęły hałas robić ballady i inne romantyczne próby, różnie przeżyliwano w obozie klasycznym, jakby tej powstającej hydrze odrazu ściąć głowę, aby więcej nie mieszała ich błogich czasów. Zdaje się, że z rady w radę stanęła na tym, jako najlepiej będzie ich pobić nowymi płodami. Łatwo powiedzieć, wykonać trudniej; bo skądże wziąć tych płodów, kiedy klasycy nasi chorowali właśnie na bezpłodność? Mnie-mam, że od Morawskiego wyszła ta bardzo rozumna propozycja, ciągle ich bowiem zagrzewał do pisania. Na pierwszy początek, niby antidotum przeciw romantycznej truciznie, miało wyjść tłumaczenie Horacego Listu do Pizonów, dokonane wspólnymi siłami, o czym napomyka powyżej w liście do gien.

¹⁾ W polemikach między klasykami a romantykami warszawskimi ci ostatni nie umieli wyzyskać argumentów z Horacjusza, którym się nasi starzy ciągle zastawiali, jako wszechmogącą powagą, gdy tymczasem Horacy w ówczesnym stanie literatury rzymskiej był głową nowatorów, romantykiem ujadającym przeciw Ennuszowi, Newjuszowi, Afranuszowi, Plautowi i Terencjuszowi, uchodzącym za wzory klasyczne.

Kraśńskiego. Głównym zaś taranem miało być Ziemiaństwo Koźmiana, od wielu lat zaczęte, teraz przerabiane na nowo. Zobaczmy, jak Morawski ciągle go zachęca do pisania, jak mu dostarcza poetycznego materiału do rozmaitych opisów ziemi naszej. Tłómaczenie *Andromachy* przez Morawskiego grało także niepoślednią rolę w zbrojnym systemacie klasyków, a jeszcze więcej list jego o Romantykach, który zresztą, trzymając się pośredniej drogi, nie zadowolił tych ostatnich. Do ciągłego harcowania z przeciwnikiem nieodzownie potrzebne było pismo perjodyczne. Morawski ciągle nastawał na to, zwłaszcza że *Astrea* Grzymały, pełniąc zrazu tę służbę obozową, strasznie zaniedbywała się nieregularnym wychodzeniem.

„...Namawiaj pisze Morawski—Osińskiego,—do pisma perjodycznego; ja 20 prenumeratorów biorę na siebie w samym Lublinie. Materiałów ja, ty, Niemcewicz, Kruszyński co do poezji dostarczać będziemy. Ponieważ w tych czasach całego poematu (*Ziemiaństwa*) nie możesz wydawać, dobrze więc obraz jego planu z wyjątkami drukować. Niemcewicza podróże, Osińskiego lekcje, manuskrypty i stare księgi twego syna, wszystko to jest do użycia. Więcej dobrego takie pismo zdziała, niż wszystkie narzekania klasyków. Niech tylko zaraz ogłosi prenumeratę, a od 1-go czerwca wydaje. Tytuł członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk powinny się przyczyniać także do tego i na ratunek śpieszyć.”

Brodziński, mający w literaturze swoją teorię o słowiańskiej sielskości, przytym obeznany z pisarzami niemieckimi, a nadewszystko poetyczniejszą wyobraźnią i żywszym uczuciem obdarzony z natury, lubo nie łączył się z romantykami i dziwactwom początkujących pisarzy przyganiał,—jednakowoż budził podejrzenie w klasykach co do swojej ortodoksji, jak się przekonywam ze słów Morawskiego, pisanych do Jędrzeja Koźmiana: „Wiem ja, co mi Śniadecki mówił o Brodzińskim, a przecież Śniadecki klasyk. Może wiedząc zdanie Śniadeckiego, nawróciłby się ojciec twój ze swojej opinji, bo klasycy tylko na wzór i magister dixit czekają.”

„...Nie pozwalając dążyć za natchnieniem, każą je zatrzymywać, i gdy przyjdzie jaki obraz lub gorące uczucie, poszukać pierwaj po starych autorach, czy tak u nich było, a dobrze ostygnąwszy, rozsądnij dopiero maszerować naprzód. Tak to niejeden klasyk czyni:

„Zawsze się wprzód w swojej zapytuje pracy,
Czy tak myślał Boalo? czy tak czuł Horacy?
I tak zawsze swą podróż kończy bezskutecznie,
Bo cóż taki ujedzie, co się wraca wiecznie?

„Ty, co nie lubisz ultra w polityce, jak możesz jego przesadę i śmieszność w poezji znosić? Nie znudzą cię te wieczne nicowania Wergila i Horacego, jakby kapelusz Gellert'a? Jak młodość twoja zgodzić się może z tymi poetami letniego natchnienia?

„...Przysłał mi twój ojciec wiersze; nietylko rozum, poezję ale i szkapy już nawet od greków wywodzi; i potym gada o dziwaczności romantyzmu! Nie uwierzysz, jak parsknąłem ze śmiechu, widząc tych biednych danajów, przyczepionych do naszych: konia! i ruszaj! Mój Boże! co też to pięknych rzeczy o polskim koniu można było powiedzieć!”

Wogóle Morawski niekiedy bardzo trafnie umiał stawać w obronie nowych wyobrażeń w poezji i literaturze, ale sąd jego zwykle szwankował przy ocenianiu pódów Mickiewicza; widocznie obawiał się łącań Koźmiana, szyderstw Osińskiego i stąd rzucał się najczęściej na gminne wyrażenia, gramatyczne błędy, niejasność, niezrozumiałość i tym podobne kategorje krytyczne-go arsenału klasyków.

Wiadomo, że Brodziński napisał był rozprawę o klasyczności i romantyczności; nie musiała ona przypaść do smaku Koźmianowi (ojcu), kiedy Morawski w tych słowach wykladał mu jej znaczenie: „Zapytujesz mię o rozprawę Brodzińskiego. Ile pomnąć mogę, nie zgadzałem się z nim w wielu miejscach, ale też w wielu jednego z nim byłem zdania. Przypomnij sobie, że on o dążeniu moralnym poezji mówi; inaczej byłaby ona tylko świetną myśli i słów igraszką, a nie językiem bogów. W Wergilim zaś nie wszystkie *Bukoliki* tak piękny cel mają, jak pierwsze; są zapewne takie, którychbyś nie dał na naukę dla młodzieży, jak np. drugą i tę, gdzie nieszczęśliwy pasterz skarży się na szal swej kochanki, latającej za buhajem. Nie mówi się tu o pięknościach poetycznych Wergilego, gdyż te zawsze wzorem dla wieków zostaną, o cel moralny idzie tu jedynie, którego nam zaniechać nie wolno. Ale powiesz mi: cóż tam może być moralnego, gdzie dwóch śpiewa swoją miłość, lub gdzie samą piękność natury i wiejskie malujemy sceny? I owszem. Poeta, co miłość samą obrał za przedmiot sielanki, do czystiejszych uczuć skłaniać nas powinien; ten zaś, co piękność przyrodzenia i życie wieśniacze maluje, powinien nas miłym ich obrazem zwracać do cichego szczęścia prostoty; tam zaś, gdzie niedole tylko stanu wiejskiego wystawiać mu przychodzi, winien pociechą sumienia wywyższać go nad losy i w tej niedoli nawet szczęśliwszym go jeszcze wystawić, niż tryumfującą podłość, zbytek i dumę. Znaliz starożytni tę piękną nadzieję wieczności, która nam najnieszczęśliwsze rozjaśnia życie?

rozwinęliż w swoich duszach to przecucie nieśmiertelności, które silnie w naszych przemawia? byłaż u nich nauka podobna chrystjanizmowi, któraby w niezgojone ich rany lała pokój cnoty i, łagodząc boleści duszy, zgadzała, oswajała ją z nie-szczęściem? Olbrzymie charaktery, nadludzkie czyny, świetne roz-pacze znamionowały starożytnych; świat ich był może świet-niejszym blaskiem poezji okryty; ale prawdziwe cnoty moralne, w takim znaczeniu, jakie ja im daję, nie mogły być celem i pociechą ich życia. Tam się przesilała natura, tu w swoim za-wodzie zostaje; tam człowiek, chcąc zostać wielkim, musiał się przedzierać na sferę półbogów; tu w dopełnieniu swego ziem-skiego przeznaczenia widzi swą wielkość moralną. Jeżeli więc taka jest różnica między ich życiem a naszym, musi ta sama różnica ich poezję od naszej odznaczać; cel jednej musi być moralniejszy od celu drugiej.

„Przytoczysz mi zapewne na zabicie mego rozumowania mnóstwo maksym i ksiąg moralnych z wieku rzymian i gre-ków. Są one płodem najznakomitszym rozważ i doświadczenia ludzkiego; są one, że tak powiem, wielką kartą konstytucyjną, stanowiącą porządek towarzyskiego życia, zabezpieczającą war-tość i szczęście człowieka. Ależ jaka jej podstawa, jakie zare-gczenie? Dzieło samej tylko rozważ i doświadczenia wtenczas dopiero każdego przekonywa, kiedy ktoś wielkie jego prawdy własną rozważą i doświadczeniem stwierdził. Jestże to dosta-teczne? Powtóre, jakaż pewność, że te wielkie prawdy precis-na się do wszystkich klas ludzi i przekonają ich? Jakiż to bo-wiem interes nagli każdego człowieka w szczególności do do-wiedzenia się o nich i wykształcenia niemi swego umysłu i ser-ca? Jest niewzruszona ich podstawa i zaręczenie wieczystego ich trwania, a tym jest nadanie im świętości religijnej. Wielki interes wieczności wszystkich powoła do zaznajomienia się z niemi i zmusi do pełnienia ich przepisów. Ta więc tylko mo-ralność, której źródłem jest religja, upowszechnić się może, przekonać wszystkich i trwać wiecznie. Tu cię chciałem do-prowadzić, mniej bacząc na to, czy żartować będziesz z mego kapucynizmu. Takie zawsze miałem przekonanie, a teraz moc-niej jeszcze je czuję. Wreszcie nie nazwiesz mię fanatkiem, gdy wiesz, co o takich monstrach myślę.”

Powyższy ustęp, choć dzisiaj wydaje się mdłym i ciem-nym z powodu niewyrobionego wówczas języka do pojęć filozo-ficznych i estetycznych, jednakowoż odkrywa w Morawskim te wyższe punkty, z których zapatrywał się na poezję. Człowiek pełen czucia i wiary żądał czegoś więcej od poezji, niż naśla-downictwa i starożytnego politeizmu.

„Przychodzę teraz—pisze dalej w tymże liście—do arty-kułu, na który Osiński zwłaszcza nigdy zezwolić nie chce, to jest do potrzeby unarodowienia poezji. Przesadza zapewne Bro-dziński, jeżeli, jak mówisz, Szymonowicza za wzór nam daje. Pomimo wielkiego uszanowania dla starożytnych ojców naszej poezji, widzę w nim słabego malarza swego wieku a bladego kopistę dawnych. Ale przypuśćmy, że ktoś ze zdolnością Wer-gilego lub Teokryta zdołałby nam odmalować życie naszych wieśniaków, ich obyczaje, troski, nieszczęścia, pociechy—silniej-by on przemówił do twego serca, niż pisarz rzymski, milejby cię zajął, boby to wystawił, na co patrzałeś i co dzieliłeś mo-że. Któraż ekloga Wergiljusza najpiękniejszą zdaje się polako-wi? któraż nawet przez wszystkich najlepiej przekładana była? Ta, co mówi o wygnaniu z ojczyzny. Ani Gray, ani Karpiński nie mieli zapewne doskonałości starożytnych, przecież pierw-szego Elegję o Cmentarzu, drugiego Powrót na wieś z większym roztkliwieniem czytam, niż wiele sielanek i elegji starożytnych; bo to są przedmioty bliższe mego serca, sposobu życia, moich losów i przekonania religijnego. Tyle to wiek, ziemia i wyobrażenia, w których żyjemy, nadaje uroku poezji! Przykłęgnę przed doskonałością Gieorgik łacińskich, ale przy-cisnę do serca twoje Z i e m i a ń s t w o. Przeczytaj ludowi polskiemu najpiękniejszą odę Horacego, a po niej odę o zdobyciu Zamościa lub wiersz o Koperniku — któraż z tych poezji silniejszy ogień w piersiach rozbudzi? która lepiej celu swojego dosięże?

Ala wróćmy do sielanek, nie samych tylko brudnych i pi-janych Maćków w naszych chłopach widzieć nam należy. Mniej więcej wszędzie ludzie ludźmi byli. Wreszcie jeżeli August poet-ów i August historii tak różni byli od siebie, może i paste-rze złotego wieku dalecy bardzo byli od tego obrazu, w jakim ich nam wystawiają. Czyż to wesołe dożynki naszych chłopków, zaślubienie pięknej wieśniaczki, rozstanie się rodziców i kochan-ki z synem, którego na kanton biorą i jeszcze do obcego woj-ska, niwa odłogiem leżąca po zmarłym rolniku, ciche życie ple-bana wiejskiego, i te pociechy religijne, które niesie wieśniakom uciśnionym przez wojnę lub złych panów, a wreszcie życie na-szych górali, i tym podobne przedmioty—nie są zdadne do po-ezji? Czyż to wszystko piórem mistrzowskim oddane nie wię-cej zajmie serce, niż owe Fauny, Sylwany, Tyrsyty i Filidy? Wołajmy o zwrot swobody dla chłopów, ale też potym i ubar-wiajmy ich życie, aby im milsze było, bo któż bardziej go po-trzebuje, niż nieszczęśliwi? Nie gardźmy więc ich obyczajami, troskami, pociechami; pieśni ich nawet i dmy żałosne, których tak wiele już na Podolu, Ukrainie i w Krakowskim odkryła poezja, wplatajmy w rymy sielskie, aby tem większą prawdę

ich obrazom nadać. Niemcy więc takie bogactwa w piosnkach ludu litewskiego znaleźli, a my ich znać nie chcemy! Pókiż ta nieczułość w sercach panów trwać będzie, że nawet i marzenia wieśniacze potępiają, jako niegodne znajomości ucivilizowanego człowieka? Do pisarza Ziemiaństwa polskiego należy przełamać ten przesąd tak zgubny i antypoetyczny, i w tym nawet względzie podnieść wartość wieśniaka¹⁾.

„Masz więc list żądany ode mnie; czytaj, śmiej się, żartuj, rozgłaszaj moje dziwotworne rozumowania, ale pamiętaj, że w szczupłych listu granicach nie można wszystkiego wyłożyć...”

Nic słuszniejszego; to też istota rzeczy ledwo po wierchu dotknięta, w ogólnikach zawarta i niedość elementarnie wyłożona, nie przeciągnęła zapewne hołdującego ścisłym regułom formy klasyka.

Lecz czas już od tych ogólnych uwag, udzielanych sobie o kwestji romantyzmu, przejść do szczegółowych, następczych nowowychodzącemi płodami.

Sonet Mickiewicza wydane w Moskwie padły jak bomba na bruk warszawski i ożywiły mdlejącą już walkę.

Kajetan Koźmian w liście z marca 1827 takie uwagi przesyła Morawskiemu:

„Czego też już nie dokazują romantycy! czego nie piszą! Utworzyli sobie teraz jakiś młyn wietrzny i jak Don-Quixoty wszędzie ogłaszają, że ich zazdrość napastuje. Godziłoby się wydrukować im i przypomnieć bajkę Niemcewicz Niedźwiedź, małpa i świnia. Dmochowski zrobił na nich bajkę pod tytułem Stary i młody, wystawiając, że mimo przestróg staroego, młody, widząc, jak osioł, pędzony przez muchy, przesadzał rowy, rozumiał, że to arabski rumak i t. d. Sonety Mickiewicza najlepiej oznaczył Mostowski jednym słowem: Paskudztwo. Nie wiem, co w nich można znaleźć dobrego? wszystko bezecne, podłe, brudne, ciemne; wszystko może krymskie, tureckie, tatarskie, ale nie polskie. To jest sto razy gorsze, niż wszystkie Marcinkowskie płody. Marcinkowski jest płaski i wierszokleta prawdziwy; Mickiewicz jest półgłówek, wypuszczony ze szpitala szalonych, który, na przekór dobremu smakowi i rozsądkowi, gmatwaniną słów niepojętego języka, niepojęte i dzikie pomysły baje; Marcinkowski jest tylko głupi, Mickiewicz szalony; Marcinkowski pisać nie powinien; Mickiewicz myśleć nie umie; Marcinkowski w miłostkach jest płaski i cikliwy prostak; Mickiewicz brudny, karczemny; Marcinkowskiego imaginację ciężką i tępą rozkołysały w niesforność Dziedzille lubelskie; Mickiewicz niesforny zapal rozdmuchały brudne litewskie pomywaczki; Marcinkowski nie wie, że jest prostakiem i nieukiem; Mickiewicz z pychą i dumą przekonany, że szaleń-

stwo jest poezją, brudy farbami, ciemność światłem, niezrozumiałość doskonałością. Czekam cię, abyś mi chociaż jeden jego pomysł, jeden obraz usprawiedliwił. Eris mihi magnus Apollo... Wyłączam z tego wiersz pod tytułem: Wieczór, w którym może się rozum czegoś domacać. Litwini tak są przejęci sławą swego smorgońskiego poety, że zarzucili wszystkie domy temi Sonetami. Walerjan Krasiński pędem roznosi je wszędzie.”¹⁾

Do powyższego listu syn Andrzej taki dołożył przypisek: „Ja dzisiaj elegantkom warszawskim czytam wyjątki z Ziemiaństwa u księżny Michałowej (Radziwiłłowej); dobrze, żeby czasem coś dobrego usłyszały, żeby z Sonetami porównanie zrobiły; lecz te głupie Sonety nawet im się niepodobają.”

Pokazuje się tu najdowodniej, że Ziemiaństwo (choć jeszcze nie dokończone) miało służyć na odparcie wpływu utworów Mickiewicza. Czytywano je też kawałkami na publicznych posiedzeniach Towarzystwa Przyjaciół nauk, czytywano wszędzie, gdzie się zbierał świat elegancki. Najczęściej Osiński, sławny deklamator, popisywał się wygłaszaniem tych świetnych i efektownych wierszy, które zyskiwały oklask, lecz nie zostawiały trwałego wrażenia.

W innym liście Andrzej Koźmian tak się jeszcze odzywa o sonetach: „Cóż to są te Sonety Mickiewicza, za którymi szaleje Morozowicz i tłumaczy je już po francusku i angielsku. Lecz ja je dopiero po francusku rozumiem i dlatego namawiam Morozowicza żeby dał tytuł: Tłumaczenie Sonetów M. na język francuski dla polaków.”

Po wyroku tak stanowczym, ferowanym przez powagi warszawskiego Parnasu, Morawski, jakby z tropu zbity, chcąc nie chcąc, zgadza się na ich zdanie; wszakże robi pewne zastrzeżenia i przyznaje, że Mickiewicz, mimo swoich śmieszności, jest poetą. „Szkoda—pisze on do Andrzeja Koźmiana—że M. nie żyje w stolicy; gdyby sztukę dołączył do talentu, byłby

¹⁾ Gwałtownej tej wycieczki przeciw Mickiewiczowi nie należy brać za niewzruszone przekonanie Koźmiana, za jego wyznanie wiary. List pisany był pod wrażeniem i dlatego charakteryzuje wrażenie owej chwili, nie zaś zdanie, jakie później sobie wyrobił, gdy autor Pana Tadeusza przemówił potężnym głosem ojczystych wspomnień i obrazów do jego polskiej duszy. Owe właśnie uprzedzenia dla romantyków ustąpiły miejsca późniejszemu szacunkowi dla narodowych poetów. Mickiewicz przesyłał życiwe słowa staremu Koźmianowi, a między autorem Felicjy a śpiewakiem Czarnieckiego zawiązała się korespondencja, świadcząca o zapomnieniu dawnych uraz, o porzuceniu uprzedzeń.

powszechniej i bez różnicy ceniony. Uważać go trzeba za dzieciny natury, zrodzone z darem poezji, gdzieś tam w borach litewskich wyhodowane, bez form, oglady i zupełnie obce wszelkiej sztuce. Bywają takie zjawiska i po innych narodach, lecz takich głupców jak u nas nie bywa, aby takie dzieła brali za wzór do naśladowania, i to nie dla pięknych miejsc, ale dla śmiałych niedorzeczności. Gdyby tylko sam Mickiewicz tak pisał, przebaczylibyśmy jego muzie i zapewne nie przeczyli jej zalet należnych; ale że tyle niedołącznych stworzyła naśladowców, dlatego tak krzyczymy na nią i piorunujemy na ten rodzaj, jakby na nową szkołę.

„...Cóż to za okropny list przeciw Mickiewiczowi napisał twój ojciec do mnie! Cała wściekłość klasyczna nieby większego nie zdołała. Ja przecież powtarzam zimno: *In medio veritas*. Utrzymywać, że Mickiewicz niższy od Marcinkowskiego, nie przystało na Koźmiana. Tysiąc mógłbym podać dowodów, że sonety Mickiewicza oznaczają jego przejście od romantyzmu do klasyczności; ale że to obraża dwie strony tak zaciekle, więc milczeć wolę. Dla ciebie to tylko dodam: jakże nie mogłeś czuć piękności tego obrazu, gdzie mówi o zburzonych murach świątyni:

Gdzie już Bóg nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją?

Lub ten:

Nie będę błagał mojej przebaczenia zbrodni,
Tylko niech mię Bóg twoją zgryzotą nie karze.

Lub ten:

Młody bluszczu, zielone obwijaj topole,
Zostaw cierniom grobowe otaczać kolumny.

Lub nareszcie ten wiersz godny Byron'a, gdy mówi o morzu:

W jego szumach gra światło, jak w oczach tygrysa.

Jak już napomknąłem wyżej, trwoga przed ucinkami Osińskiego teroryzowała w Morawskim odzywające się uczucie poetyczne, mieszała trafny sąd. Czuł on urok i potęgę poezji Adama, a mimo to zawsze bił czołem przed stylem i egzekucją Osińskiego i Koźmiana.

Co w obozie klasycznym było budujące, to solidarność między autorami. Wprawdzie nie przeszkadzało to, żeby Osiński nie dowcipował ze swoich kolegów; Morawski, żeby znowu

nie odslaniał słabych stron Osińskiego; ale taka była ich natura, że nadewszystko lubili nietyle unosić się nad pięknosciami, ile myszkować na usterki stylu. Solidarność, o której wspominałem, zasadzała się na wzajemnym pomaganiu sobie w kuciu wierszy. Morawski w jednym liście wspomina, że Osińskiemu pomógł, kiedy ten biedził się z wytłumaczeniem sławnego kornewskiego słowa w Cydzie: *Rodrigue, as-tu du coeur?*— Młody Koźmian posyła mu jakąś elegję tłómaczoną z francuskiego, którą Morawski szlifuje; nawzajem tenże prosi go, żeby mu przetłumaczył choćby ze sto razy dwa wiersze z Andromaki. Stary Koźmian posyła mu kawałkami swoje *Ziemiaństwo* i odbiera długie uwagi, poprawki, pokreślenia; że zaś utwór ten miał doskonałością swoją spiorunować romantyków, Morawski co chwila podsuwa mu poetyczne pomysły, za które rzeczywiście można było być wdzięcznym.

Jak zaś uwagi swych przyjaciół przyjmował autor, można się z tego ustępu koźmianowego listu przekonać:

„Mostowski¹⁾ tak początek jak koniec mego *Ziemiaństwa* ze smakiem przeczytał; szczególniej mu się podobało: Opisanie chorób, Susza, Powietrze, Jałówka i Buhaj. Nad niektórymi tylko wyrażeniami porobił krzyżyki. Nie podobał mu się wiersz:

„W wyschłych gardłach języki gorą spieką srogą.

i drugi:

... „pod topór siepacza.

„A że na to i Osiński się zgodził, więc potrzeba poprawić...”

Pokazuje się, że mimo zasady o powadze poddawano się głosowaniu, zwłaszcza jeżeli do głosowania wmieszał się Osiński, którego Koźmian miał także za wyrocznię ostatecznego sądu i zawsze bronił przeciw sarkazmom i oskarżeniom Morawskiego i innych.

W liście z 22 grudnia 1827 r. tak pisze (do Morawskiego): „Wylałeś w ostatnim liście żółć swą na Osińskiego, który, wierząc mi, nietyle na to zasługuje jak się zdaje Fredrze (Maksymilianowi) i Krasińskiemu...”

„Wczoraj zapowiedział nam na obiedzie u Krasińskiego Odynieć, że chwala Mickiewicza od morza Atlantyckiego aż do Araxu się rozchodzi, albowiem tłómaczą jego sonety: Wiazem-

¹⁾ Minister Mostowski, niegdyś wydawca klasyków polskich, uchodził za najwyższą wyrocznię dobrego gustu.

ski w Moskwie, w Petersburgu jakiś znakomity literat i senator, w Londynie dwóch żurnalistów nauczyło się po polsku, żeby mogli ziomkom swoim udzielić płodów tego wielkiego poety, którego już pisma angielskie pierwszym gienjuszem i literatem polskim mianują. Cóż można było odpowiedzieć na to? Tylko ruszywszy ramionami, oświadczyć, że i my pójdziemy do Stambułu dla nauczania się języka Mickiewicza, a nauczywszy się, może będziemy wielbili; teraz trudno chwalić, czego się nie rozumie. Śpiewał nam potym Odyńczyk ¹⁾ litewskim tonem dwie nowe ballady Mickiewicza obiedwie o turkach: jedną o prawowiernym, drugą o renegacie, które nawet mimo chęci drażnienia się ze mną, znalazł Krasieński niedorzeczniemi. Brodziński ganił, lecz nie bez zgorszenia i indygnacji Lelewela. Dotąd na zarzuty czynione bredniom naszych młodych wierszokletów zawsze mówił: Pozwólcie krajowi mieć swoją narodową poezję.—Chciej mi teraz odpowiedzieć, co mają wspólnego z narodową poezją Czatyrdahy i renegaty tureckie? Niemcy w swoich balladach przynajmniej swoich baronów opiewają, a my turków, tatarów, kozaków, i to jeszcze ich nawet własnym językiem. Sto razy ci to powiadałem, że nie mogę zrozumieć tej jednej w tobie sprzeczności: że inaczej piszesz, a czego innego bronisz; czego sobie nie pozwalasz, to w drugich pobłażasz. Niech ciebie tylko naśladowają, niech przez połowę tak dobrze piszą, a troskliwość nasza o literaturę pocieszy się i uspokoi... Nie słyszałem, żeby Osiński bądź w żartach przy stole, bądź na katedrze przy lekcji w innym duchu mówił. Dlaczegoż nie słyszałem go ganiącego twoich pism? Owszem, oddaje im sprawiedliwość, a wierząc mi, mimo skłonności do żartów i satyry, mimo wszystkich drwinek, których sobie dozwala, Osiński w naszym kraju jest najlepszym krytykiem, najwięcej ma pewnego smaku i sądu, i co do mnie, wolę jego satyryczne przyczynki niż wielu pochwały, bo myślę sobie, iż krytyka sprawiedliwa każdemu dziełu pomaga, niesprawiedliwa nic mu nie uwłacza. Brodzińskiego talent nie jest pospolity; praca może go zrobić pożyteczniejszym krajowi niż jest Osiński, lecz nigdy go z nim nie zrówna w gienjusz, poprawności stylu, pomysłach czystych i wyobraźni prawdziwie męskiej. Nie mniej mię za uprzedzonego przeciw komubądź lub za kimbądź; to jest moje przekonanie. Po dawniejszych pisarzach, Osińskiego tylko i ciebie, a po was

¹⁾ Jeżeli tu z pewnym przekąsem wyrażał się Koźmian o Ant. Edw. Odyńcu, to później wielce umiał go cenić i podnosić piękność jego Felicyty i innych utworów. Stosunek listowny zawiązał się potym między litewskim a małopolskim poetą i trzymał się do zgonu Koźmiana. Nie zapominajmy, że to jest historia literackich wyobrażeń, a nie historia prześladowań i nienawiści stronnictw politycznych.

Brodzińskiego uznaję za dobrych pisarzy, boście się nigdy bredniami nie zdradzili; tyś więcej robił, Osiński mniej, ale równie dobrze, a ty sam nawet nie nadałbyś był tyle piękności i poprawności twojej Andromasze, gdyby był Osiński tłumaczeniami swemi nie pokazał wzoru. Pogódź się więc z Osińskim, przywieź swoją Andromakę i pozwól ją grać przez miłość sławy narodowej. Jeżeli to uczynisz, przyrzekam ci, że ani ja, ani Osiński słowa nie powiemy przeciw romantikom, prócz tej rady: Piszcie jak Morawski!

Niemalęj widać doznał pociechy Koźmian, gdy Morawski znudzony lichymi naśladowcami Mickiewicza palnął im dowcipną bajeczkę umieszczoną w gazecie, lecz bezimiennie. Pisz też z tego powodu:

„Choćbyś mi się nie wiem jak zapierał, żeś nie ty pisał bajkę: Kogutek i gąsięta, umieszczoną we wczorajszej gazecie, nie wierzę; pozdrazdzałeś się i wybornemi conceptami i dobrimi wierszami i nader szczęśliwemi wyrażeniami, zgola cechą twojemu pióru właściwą: Luba niepewność, czy się sam rozumie? Wiwat kogut oryginał! To to było kukuryku, właśnie dla gąsiąt stworzone! Wszyscy powiadają, że mogło to wyjść tylko z pod Morawskiego pióra. Zabiłeś na wieki Mickiewicza; odtąd nikt nie chce być gąsięciem. Brodziński i Dmochowski walczyli orężem, a ty maczugą, Herkulesa tą bajką. Zmazałeś winę, że niezrozumiany od kobiet w zdaniu, które masz o Sonetach, poprzewracałeś im głowy. Póki masz czarne pukle na głowie, siły Herkulesa, głos Stentora, niebezpieczne są twoje żarty z kobietami; jak się doczekasz siwych jak ja włosów, wolno ci będzie figle z klasykami wyrabiać, a nie będą im szkodziły przy toaletach.”

Alarmujący list Kaj. Koźmiana znajduje pod datą 13 lutego 1828 r.:

„Wiesz też, że Dmochowski najohydniej nas zdradził! Powstali przeciwko nam romantycy. Gazeta Polska umieściła moją strofkę urywkiem z Ody na pokój: „Jak araby skwarem spiekle”, dowodząc, że głupia i źle naśladowana z oryginału, cytując Mostowskiego tłumaczenie, jako jedynie godne oryginału. Sam Mostowski ujął się za moim wierszem: „Wrą pod ich nogami piaski—słońce im silniej dopieka”. Lecz mniejsza o to. Żaba czyli Chwila spoczynku ¹⁾, napisał, że miała wychodzić Flora, lecz zmarła. Tak to źle grozić a nie

¹⁾ Pismo periodyczne pod tytułem: Chwila spoczynku wydawała Żaba. Najwięcej do redakcji tego pisma należało ze szkoły podchorążych.

nie robić; gorzej głupców do konfidencji przypuszczać. Czekamy ciebie, żebyś coś uradzić, bo nigdy głępszymi, nigdy zuchwalszymi nie byli literaci i krzemieńczanie niż teraz. Od twego wyjazdu nic nowego nie zaszło, prócz że ze składu Tow. Przyj. nauk skonfiskowano dzieła Staszica. Niemcewicz tym zgryziony, lecz przeszkodzić trudno było, skoro w naszym łonie mamy Benonów; łatwo zgadniesz, kto jest na ich czele. Jak żyć, z kim żyć, komu ufać? Bóg tylko wie.”

Czymże zawinił Dmochowski klasykom, że go tak potępili? Zdaje się, o ile mogłem dojść z różnych natrąceń, że pozazdrościł Morawskiemu jego tłumaczenia *Andromachy*, które Osiński, mając wystawić w teatrze, czytywał na różnych zebraniach i zbierał dla tłumacza głosy pochwalne, uwłaczające tym samym tłumaczeniu tej samej tragedji przez Dmochowskiego.

Dmochowski, póki trzymał się klasyków, póty był w łaskach. Kajetan Koźmian tak się w dawniejszym liście o nim wyraził: „Ten chłopiec ma talenty, lecz jeszcze nie ma sądu. Do naszego projektu łączy się i chce pomagać piórem i drukiem. Witwickiego balladę przecież wyćwiczył w swojej gazecie. Wszyscy w tym piśmie figurujemy, lecz nie wszyscy stosownie.”

Nadchodził moment, w którym nowy wypadek miał sprawić ogromne zamieszanie w świecie literackim. Wszystkie te niespodzianki zwykle sprawiał Mickiewicz. Natchnienie jego zdawało się coraz potężnieć w mrozie podbiegunowym, fantazja okradać z blasków i barw zorzę borealną, bo każde zjawienie się utworu jego w Warszawie szalony entuzjazm budziło w młodzieży, co widząc, poważni klasycy, zachodzili w głowę i, nie mogąc sobie wytłumaczyć czarodziejstwa poezji, przypuszczali już, że to jakaś skryta kabała lub spisek. Osiński sam się z tym wkońcu odezwał: „Ponieważ ci młodzi gadają innym językiem i czegoś chcą, czego my nie rozumiemy, musi to więc być rodzaj masonji między niemi.”

Wallenrod wyszedł już był w Petersburgu, lecz do Warszawy jeszcze się nie dostał; tymczasem list pisany z Petersburga donosił, że Mickiewicz całą tragedję improwizował na pewnym wieczorze. Andrzej Koźmian pod datą 1-go marca 1828 roku tak o tym donosi Morawskiemu:

„W zeszły czwartek byliśmy na obiedzie literackim u generała Krasińskiego. Cóż to codziennie nowych poetów przybywał! Wszak to i pocziwy nasz antykwariusz Lelewel miesza się do poezji i do dobrego smaku, on, który, jak Osiński powiada, nawet chustki nie umie sobie dobrze zawiązać. Obiad cały szedł dobrze, ale po obiedzie wpadł Lelewel z listem z Petersburga, pisany o Mickiewiczu, w którym mu donoszono, że ten gienjusz całe tragiedje już improwizuje, że w tej chwili jest jakby

duchem bożym natchniony, że gdy improwizował coś o Lwie Sapieże, terażniejszy Leon Sapieha zemdlał, a Kęski i Jelski ledwie nie zemdleli. Ja myślę, że chyba ich nudzić zaczęło. Dodają w tym liście, że ryją już popiersie z białego marmuru autorowi *Sonetów*, i nakoniec, że niech ta jedza zazdrości warszawska, niech ci starsi literaci wyją i miotają się, już ich sława zaćmiona! Przeczytawszy list taki, Lelewel uciekł, a Odyniec zaczął podnosić każdy wyraz jego. Krasiński według swego zwyczaju judził, a stąd wielka a nawet nieprzystojna zaczęła się kłótnia“.

Najważniejszym przedmiotem tego listu jest improwizacja Mickiewicza; dziwnie odbija się ona na tle tej literackiej kłótni, która rozbrzmiewała w kraju. Morawski zaraz zapytywał z Radomia, gdzie stał z brygadą, czy to prawda, że u Opinogórskiego mecenasa ¹⁾ na obiedzie Odyniec wyzwał na pojedynek Osińskiego? Dzienniki, ile sobie przypominam, podały ów list z Petersburga opisujący festyn literacko-artystyczny, na którym Mickiewicz improwizował tragiedję, Orłowski improwizował ołówkiem sceny do Wallenroda, a znakomita pianistka pani Szymanowska improwizowała na fortepianie. Były to wszystko nadzwyczajności, które odbierały sen marszałkom konfederacji klasycznej, a romantyków wprawiały w szal ekstazy. Ci pierwsi, żeby paraliżować wrażenie, nazywali improwizację szarlatanerją i drwili z mdlejącego Mickiewicza i z mdlejących słuchaczy. Kajetan Koźmian pisze tonem ubolewającego politowania: „Sprawiedliwie zemdlał, słysząc improwizację jego, książę Leon Sapieha, bo zapewne byłby zemdlał przodek jego Lew Sapieha na tak szalone wyobrażenia o uczuciach litwinów.” Morawski, o którego uszy odbijały się te wiadomości, dolatujące ze stolicy, odpowiada Koźmianowi: „A to awantura z tą improwizacją Mickiewicza, jeżeli prawda, że tragedja ta już dawno w kilkunastu scenach jest gotowa i że tam dopiero omdlał zrzęcznie, gdzie już zabrakło rękopisu sztuki? Ale podobnaż wierzyć takiemu kuglarstwu? Nie wierzę w tak długie improwizacje po polsku; ale też nie wierzę i w szarlatanerję podobną.“

W każdym razie było coś upokarzającego dla warszawskich luminarzów, kiedy z nad mroźnej Newy pociągał wiatr taki ciepły, taki wonny, jakby zabrał w siebie wszystkie promienie południowego słońca, wszystkie wonie Italji. Nie poddając się wrażeniu, woleli je ostudzić ironją i zaprzeczeniem. Jeden tylko Morawski nie przypuszczał szarlatanerji i nie pomylił się.

¹⁾ U generała Krasińskiego, właściciela dóbr Opinogóry.

Wkrótce za wiadomością o tym festynie improwizatorów zjawił się, jak czarny rycerz ze spuszczoną przyłbicą—Wallenrod.

Posłuchajcie, jakie zdania referuje o nim klasyczny Sanhedryn.

Andrzej Koźmian pod d. 29 marca 1828 r. tak pisze do Morawskiego:

„Dzisiaj posyłam Wallenroda i czekam pierwszą pocztą na krytykę lub pochwałę jego. Mosowski daje o nim zdanie, że wtenczas podobne romanse wierszem mogłyby się stać szkodliwymi, gdyby się mogły stać wzorami, czemu zaprzecza. Sam mój ojciec przyznaje, że jest lepiej pisany i że nie jest ogołocony z pięknych wierszy, jednak nie jest wyższy nad Iliadę, jak to Gazeta Polska zawczasu utrzymywała.

„Czytałem go już całego; wiele jest do powiedzenia przeciw niemu, kiedy go tak okrzyczano. Lecz przyznać należy, że wielki widać postęp w języku, gramatyce i stylu. Mniej jest może poezji, ale też mniej dzikości, mniej szusów, wszędzie jest zrozumiały i jasny, co już bardzo wiele; słowem jednym jako arcydzieło (jak go okrzyczano) bardzo może być krytkowany, ale jako dzieło tylko może być nawet chwalony. Osiński, któremu wczoraj czytaliśmy wyjątki, powiada tylko:—Z wielkiej chmury mały deszcz.”

Kajetan Koźmian zaraz po synu pisze w tejże materji:

„Posłał ci już Wallenroda. Nie będziesz go zapewne admirował: szczególny przedmiot, szczególnym sposobem wybrany. Nikomu nie takiego nie przyszło jeszcze do głowy, wystawiać rymem warjata, pijaka, a dla tym lepszego uświetnienia nadawszy mu, wbrew historii, postać bezecnego zdrajcy, zrobić go litwinem dla dania wyobrażenia, w jak szlachetnym sposobie litwini kochają ojczyznę. Co się w tych pińskich głowach roi, wszelkie pojęcie przechodzi. Na nieszczęście, to bożyszcze Odyńców, Ordyńców i Lelewelów—Mickiewicz zrozumiałszym jest w tym dziwotwornym płodzie, niż był w Balladach i Sonetach. Osiński nawet mówić nie chce o tym przesławnym poemacie.”

Na te listy i na przesłany sobie poemat odpowiada Morawski:

„W allenroda dopiero przed dwiema godzinami dostałem, co więc po pierwszym jego przerzuceniu przyszło mi do głowy, to ci piszę, ale nie bierz tego jeszcze za niecofioną krytykę, bo dzieła myśli nie godzi się z lekkością sądzić i z pierwszego wrażenia stanowić o nim tam śmiało! Każesz, piszę:

„Zdania względem tego poematu nie mogą być tak różne, jak względem Sonetów. Mojem rozumieniem, na które ani

twój klasyczny ojciec, ani najzagorzalsi nie zgodzą się romantycy, jest to: że gdyby nie Ballady Mickiewicza, w których i pomysł i egzekucja zbliżają się do pewnej dokładności, Wallenrod byłby jego cenniejszym dziełem. Pomysł Wallenroda zdradnej zguby krzyżaków jest śmiały, poetycki, a może i wielki nawet. Ballada Alpuhara nadzwyczaj trafnie wiąże się z akcją, dodaje jej żywości dramatycznej, całą posuwa osnowę i zręcznie oświeca czytelnika o charakterze i zamiarach Konrada. Poświęcenie się Aldony ma swoje piękności, charakter Konrada do końca utrzymany, śmiało i zręcznie utkany z tyłu na pozór przeciwnych sobie przymiotów dumy, czułości, wielkości i niskich błędów, choć niepotrzebnie pijaństwem skalanym. Można było zasłonić tę plamę historyczną bez ujęcia żywej prawdy obrazowi. Ale czemuż ta osnowa, której plan przedstawiał się pocie tak prosty i naturalny, jakby naumyślnie przez niego zamieszana jest nieładem? Nadto nam wiele domyślać się każe w pierwszej połowie dzieła; nazbyt długo zaciemnia rzecz z siebie tak jasną. Chęć bałamucenia czytelnika nadto jest widoczną. Nie tym środkiem zręczny pisarz wzbudza ciekawość. U niego rosnąca tragiczność położenia coraz żywszym zajmuje interesem: tu zaś przez pół dzieła nie wiem prawie, kogo widzę, z kim przestaję? Jakże więc może mnie to obchodzić, czego natychmiast pojąć nie mogę? Można i należy czasem użyć tej sprężyny, ale trzy osoby zarazem, jakimi są: Konrad, Aldona, i Halban, wprowadzać na scenę i wszystkie tak długo ciemną okrywać powłoką, nazywa się podług mnie—bałamucić niepotrzebnie.

„Trzeba wprowadzić coś zostawić domyślności, ale nie wszystko; trzeba drażnić imaginację czytelnika, ale nie mordować jej zawsze i zawsze tym samym sposobem. Sądzę, że należało przypuścić wcześniej, choć w części czytelnika do tajemnicy; z łatwością bylibyśmy się przenieśli w miejsce krzyżaków i wyobrażali sobie dostatecznie ich złudzenie i pewność w chwili wiszącej nad nimi zguby, jak to się dzieje w czasie śpiewania ballady Alpuhara, sceny, podług mnie najlepiej i po mistrzowsku nakreślonej.

„Są jeszcze inne błędy, które mnie przy tym pierwszym odczytaniu uderzyły.

„1. Wallenrod byłże lub nie był krzyżakiem? Nie widzę tego w wykładzie poematu dość jasno. Chował się wprowadzić u mistrza krzyżackiego, ale nigdzie nie powiedziano, czy wstąpił do zakonu. Jeżeli nie był krzyżakiem, jakże mu mogli wierzyć, że nim jest, wpuszczać go do zakonu i dawać mu nakońiec stopień w mistrza? Jeżeli zaś nim był, jak mógł żenić się z Aldoną. Wreszcie ożeniwszy się z nią, jak mógł znowu zo-

stawać krzyżakiem, jak pogodzić przysięgę krzyżacką z przysięgą zonię? Co tu rzeczy do wyjaśnienia! Nakoniec przez ileż lat po opuszczeniu Aldony dosługiwał się w zakonie, nim został mistrzem? Jest tam wprawdzie w jednym półwierszu wzmianka, że Aldona dziesięć lat już jest w Malborgu, i z tego dorozumieć się trzeba, że już więcej niż dziesięć lat Konrad jest w zakonie; lecz to półwiersza w innym i dalekim miejscu rzucone, łatwo przez czytelnika może być mniej uważane, prześlępione lub zapomniane; bo gdy go czyta, jeszcze nie wie, że te dwa wyrazy: „lat dziesięciu“ całą są podstawą podobieństwa do wiary i jedynie do zrozumienia rzeczy doprowadzić mogą.

„Jest to właśnie błąd, jaki w ekspozycjach tragedji francuskich widzimy, i które Schlegel tak doskonale zgromił. Ale mniejsza o to, pójdziemy dalej.

„2. Co było powodem Witoldowi, że, przybywszy łączyć się z krzyżakami przeciw Litwie, nagle, i to bez żadnego powodu opuszcza znowu tych krzyżaków w Malborgu i idzie ich zdradzać, i to kiedy?—wtenczas, gdy już Konrad wojnę postanowił, która dla niego taką miała przynieść korzyść.

„Trzeba się czegoś domyślać znowu, ale czego? nie wiem.

„Późno, ale bardzo późno dowiaduję się, bo dopiero przy końcu, że w lesie miewał rozmowy z Konradem, i że jest zdrajcą podobnym Konradowi. Po cóż stwarzać charakter tak podobny do głównej osoby?

„3. Dowiadujemy się od autora, że Aldona mieszka w narożnej wieży zamku Malborga, a sama dalej mówi, że osiadła w pustelnicznym domku. Gdzież więc jest? tu trochę trudno domyślić się.

„4. Po co, ku jakiej potrzebie, w jakim celu Wallenrod, padając otruty, bierze wprzód lampę z okna i rzuca ją o ziemię? Nie widzę ja tu, jak mówię, celu Konrada, tylko trochę zbyt widoczny cel autora i niezręczne przygotowanie zamierzonego efektu, aby lampa koniecznie padła naostatek przy twarzy konającego Konrada i oświeciła jego pobieliałe oczy. Tu jest wielka niezgrabność malarza.

(W manuskrypcie tego listu czwarty punkt jest przekreślony i ręką autora, który widać pomiarkował się, dołożony dopisek: Niesłusznna krytyka).

„5. Czemu Aldona taki krzyk wydała, gdy Konrad skonał? Wszakże siedząc w innej wieży, ani tego widzieć, ani też natychmiast wiedzieć nie mogła. Miejsce to oprócz tego jest zanadto naśladowane z Paryzyny Byron'a; ale ta słyszała dzwon ogłaszający blizki zgon Hugona; widziała tłumy ludu śpieszącego na miejsce kary; mogła wreszcie widzieć samo jej spełnienie. Mickiewicz właśnie

znowu w tym miejscu mówi: „Wy się domyślicie.“ Otóż przyznam się, że ja pierwszy żadną miarą domyślić się nie mogę, a radbym z duszy rozumiał.

(W manuskrypcie i ten 5-ty punkt przekreślony, z dodatkiem: I to niesłuszne, a więc mażę).

„6. Konrad wiezie na wojnę krzyżaki w celu ich zgubienia, a więc w celu uratowania Litwy. Pojmuję więc, że przegrywa bitwy, traci wojsko, ucieka, daje pustoszyć, palić ziemie krzyżackie; lecz na cóż, jeśli Litwę chce ratować, sam jej pierwszy te wszystkie klęski zadaje, jak sam autor wyraża: rzeź, grabież, pożogę, tak, iż całe niebo wieczorem krwawym oblane promieniem? Szczególny to sposób ratowania swej ojczyzny. Nigdybym go się nie był domyślił!

„Oto są wady logiczne, jeśli sam się w mojej logice nie mylę i zbyt śpiesznie nie sądzę; lepiej więc nie pokazywać tego listu nikomu, bobym nie chciał zaszkodzić wziętości dzieła, które tyle innych ma zalet i dowodzi tak wielkiego postępu autora co do smaku, języka i jasności. Zachowaj go dla Świdzińskiego, który ciekawy jest mego zdania. Może po głębszym namyśle i po usłyszeniu zdań waszych wiele z mego odstąpię.

„Co do obrazów: Wstęp mi się niezmiernie podobał. Autor umiał i malować i przywiązać do miejsca, które sobie za scenę obiera; z łatwością i wdziękiem wstępuje na nią; radbym tylko, aby w tym, tak pięknym miejscu, gdzie maluje wijącą się przez Niemen roślinę i sięgającą nadbrzeżnej topoli, nie chmielu był użył, który jest nadto pospolity i nasze piwo dubeltowe przypomina. Czemu nie było powoju umieścić?

„Znałem ludzi dwoje“—niejasne.

„Obraz charakteru Konrada, choć może trochę długi, ma wiele prawdy; a gdy mówi o jego śpiewie i graniu, wszystko bardzo piękne.

„Ale nie wypisałbym w jednym liście wszystkich piękności, wszystkich wyrazów tak głęboko z serca branych. Jakże cudne są trzy przedostatnie strofy pieśni z wieży; jak wdzięczne porównanie księżycy:

Jak dumający w pustyni kochanek,
Obiegłszy myślą całe życia koło...

„Mało jest błędów przeciw językowi: śledzić co, nie: czego; stołu, nie: stoła; uschnąć, nie: usechnąć; uszczknąć, nie: uszczyknąć. Otóż pono i wszystko.

„Apostrofa do pieśni gminnej do piękniejszych miejsc należy.

„Jednej rzeczy tylko pojąć nie mogę, jak człowiek z tak poetyczną duszą, z tak marzącą myślą, mógł napisać 31 wierszy tak prozaicznych, że w żadnym pono poemacie niema nic podobnego, to jest oskarżenie wielkiego mistrza przez jednego z rycerzy. Wiem ja, iż podobne miejsca nie mogą być bardzo poetyczne, lecz za to zwięzłością swoją powinny być dobitne i ścisłością rzeczy mocne. Odczytaj, a może przyznasz.

„P. S. Com przemazał, przemazałem po drugim odczytaniu; może po trzecim przemazałbym wszystko.“

Spodziewałbym się tego po Morawskim; sam on jeden z całej koterji klasyków mógł się poznać na poezji; struna ta odzywała się w jego duszy; lecz bał się, żeby go nie wyśmiano za zuchwałe zdanie, za które potym musiały się wobec swoich powag rumienić.

Na te uwagi Morawskiego odpisał Andrzej Koźmian 5 kwietnia 1828 r. z Warszawy:

„Czytałem i odczytywałem list gienerała ze zdaniem o Wallenrodzie. Mój ojciec czeka drugiego listu, po drugim odczytaniu tego poematu, sądząc, że gienerał w nim surowiej go skrytykuje. Utrzymuje on, że przedmiot źle wybrany, że bohater powieści przywiązywać nas powinien do siebie, kiedy Wallenrod zdrajca, szaleniec i pijak może tylko odrazę wzbudzać; wreszcie zapytuje, gdzie jest sens moralny? Azali czyn Wallenroda choć miłością ojczyzny powodowany, może być szlachetnym? Temu zaś wcale nasz surowy a kochany klasyk nie zaprzecza, że polszczyzna czyściejsza, że się autor wprawił trochę w gramatykę, i że mniej jest dzikości i ciemności. Niemcewiczowi i księciu Adamowi dosyć się podobał, a przynajmniej o wiele więcej niż memu ojcu. Co do mnie, znajduję, że jest poprawniejszy, lecz mniej poetycki, że jest naśladowaniem Kor-sarza Byron'a, ale dalekim od wzoru, że ani Konrad, ani Aldona nie wzbudzają interesu, lecz mimo to talent autora częściej niż zły gust przebija się.

„W gazetach żadnych rozpraw, ani pochwał, ani krytyk niema o Mickiewiczu, bo żadnych już umieszczać o nim nie wolno. Imienia jego publicznie wspominać nie można, tak jak nowego Herostrata.

„—Czy za to, że świątynię Gustu spalił? pytają się klasycy.”

Jak widać, klasycy nie taili głębokiego ukontentowania z powodu zakazu cenzury pisania o Mickiewiczu, który zgruchotał ich gipsową świątynię, co pokazuje ich słabość a razem i tępość, bo cenzura lepiej odgadła ducha Wallenroda niż oni, co przyszli mierzyć tego olbrzyma swoim cyrklem i łokciem, a nawet nie dostawali mu do kolan.

Osobliwsza to rzecz w tej chwili, kiedy strona przeciwna na wszystkich punktach źle czy dobrze, ale występowała do walki, nasi klasycy popadli w skamieniałą jałowość i nie mieli niczym lepszym ratować swoich parnaskich zasług i powagi, niż tą Andromachą, której aż cztery tłumaczenia zjawily się na raz¹⁾: pierwsza Dmochowskiego, druga Morawskiego, trzecia Miera, a czwarta mało wówczas głośna, bo znana tylko we Lwowie, Andromacha Kopystyńskiego, który, nie robiąc wielkiego hałasu, najwięcej się podobno przysłużył literaturze, bo wytłumaczył wszystkie tragedje Racine'a.

W roku 1829 zawiatała do Warszawy nowa edycja dzieł Mickiewicza w Petersburgu drukowana, i zamiast przedmowy mieściła bicze na recenzentów warszawskich. Poeta, długo cierpliwy na tyloletnie brednie, uchodzące za kodeks literacki, raz odpowiedział. Był to prawdziwy coup de grâce. Co tam potraconych wielkości! co podeptanych sław!

Andrzej Koźmian donosi o tym Morawskiemu w tych słowach:

„W świecie literackim wiele narobi hałasu nowa edycja Mickiewicza, na której czele umieścił przedmowę o krytykach i recenzentach warszawskich. Na wszystkich z pogardą patrzy, łaje, wyśmiewa, nietylko żyjących, ale nawet umarłych: Dmochowskiego (ojca), Stanisława Potockiego, Piramowicza; z żyjących zaś najbardziej nicuje szarlatana Dmochowskiego Astreję! Mają un coup de patte: Osiński, Bentkowski i t. d. Słowem jest hatiszerif literacki, napisany z dziwną zarozumiałością, z impertynencją nawet, a to właśnie w tej chwili, kiedy sam daleko poprawniej pisze.”

Z listu Kajetana Koźmiana do tegoż:

„Mickiewicz im lepszym się pokazuje poetą, tym głupszym człowiekiem. Co za zarozumiałość na Boga! Dla honoru literatury puszczaj w obieg gromy na romantyków, bo co do nas, których nazywacie klasykami, już nas podeptano, zgębiono. W tej chwili spaliłbym wszystkie moje pisma, gdybym się tylko przekonał, że Mickiewicz będzie tryumfował ze swoich głupstw.”

Z innego listu:

„O nowym Mickiewiczu głupstwie musiał ci Jędrus opowiedzieć. Będę mówił księciu Adamowi, aby, jadąc do Puław, wziął dla ciebie dzieła tą sławną przemową opatrzone, gdyż mu autor je przysłał. Rzecz bardziej politowania godna niż odpowiedzi. Jednak Dmochowski już odpisał; Mochnacki zaraz w Ga-

¹⁾ Jest jeszcze piąte tłumaczenie Morsztyna z XVII wieku.

zecie Polskiej dwa razy tyle. Odpowiedź na to Dmochowskiego znowu jest pod prasą; a tak cała kłótnia de lana caprina. Lecz Dmochowskiego trudno nie usprawiedliwiać, kiedy broni ojca literatury i smaku przeciwko zuchwałości i zarozumiałości smorgończyka. Mówią, że Mickiewicz protegowany w Rosji jest użyty w wydziale i pozyskał pensji 1200 rubli srebr. Teraz, teraz byłby czas, teraz powinnośc puścić w obieg wiersz twój o romantykach. Dajcie już pokój klasykom; już oni podeptani od litwinów razem z Potockim, Piramowiczem, Dmochowskim i t. p."

Kiedy nieszczęście na kogo się usadzi, coraz nowe nasyla zgryzoty. Z ową sławną przedmową zawitała Melitele. Był to noworocznik wydany przez Odyńca.

Pod d. 24 stycznia 1829 r. pisze Andrzej Koźmian, zwykle donoszący o wszystkich nowinach stołecznych:

„Wyszła już Melitele; jest to flora litewska. Jest w niej kilka kawałków Mickiewicza. Farys, powieść arabska, choć pełna szaleństw, lecz pełna poezji. Niepewność jest niezła; wojewoda trochę karczemny; ale inne ballady, dumy i t. d. a szczególnie Kasztelan Odyńca mogą oburzyć nie tylko pseudo-klasyków, ale każdego ze zdrowym sensem. Dziwnie ten Kasztelan wygląda przy Łzie generała."

Z listu Kajetana Koźmiana:

„Co za głupstwo Melitele! nie Flora, ale Paraszka w baranich kozuchach. Co też te warjaty i prostaki litwini wyrabiają! Jak mogliście dać do tego zbioru swoje pisma? Zmiłuj się, przyszej mi romantyków, każę moim kosztem wydrukować."

W innym liście Andrzej Koźmian donosi:

„Dmochowskiego odpis Mickiewiczowi będzie miał wiele dobrego i wiele złego, w tym tygodniu wyjdzie z pod prasy. Będzie dość gruba broszura z obszernymi przypiskami. Sens jej taki: Panie Mickiewicz, byłem i ja też wielbicielem wspaniałego talentu; jesteś niewątpliwie pierwszym poetą, pełnym imaginacji, wdzięku i t. d., lecz żeś ojca mego zaczepił, głośno ci odpowiadam—żeś nic. Oto jest treść rzeczy. Grzymała gra tu wielką rolę między romantykami: zdaje mu się, że swoją figurą i powagą zatrzymuje te wały rozhukanego szaleństwa romantyków, któreby niezawodnie zalały wszystkich klasyczności przypisów, gdyby ich jak wał lub grobla nie zatrzymywał. Bywa u mnie i u Osińskiego i proteguje nas u Mochnackiego, nad którym wziął jakąś przewagę, grożąc mu nieustannie, że jeśli się nie upamięta, upiór Astrei powstanie z biczem. Mówił mi nawet, że coś rodzi pojednawczego."

Ten odpis Salezego Dmochowskiego na mickiewiczowską reprimendę wogóle nie zrobił żadnego wrażenia, a klasykom, choć bił na ich przeciwnika, także nie dogodził; bo jak trafiła uwaga A. Koźmian, stał tylko w obronie zasług swego ojca, znanego tłumacza *Iljady*, a nie w obronie klasycznego obozu. Odpór tedy dany szturmującym tak potężnie romantikom, zredukował się do bardzo szczupłych rozmiarów. Mimo to starszy Koźmian, lubo zwątlony na duchu, nie przestawał zwać Morawskiego, żeby czym prędzej dawał do druku swój list o klasykach i romantykach, a szczególnie o tych ostatnich; nawzajem Morawski naglił o jak najspieszniejsze wykończenie *Ziemiaństwa*, w tej nadziei, że ten utwór tyle lat pielęgnowany w ukryciu, ciągle poprawiany, przerabiany, gładzony, ukaże się jak *Afrodyte* z pian morskich i zaćmi wszystko, co dotąd uchodziło za piękne i doskonałe.

Ale *Ziemiaństwo* o grające na patryjotycznej strunie dawnego nastroju, nie mogłoby ukazać się w ówczesnych stosunkach bardzo drażliwych, a potem że Koźmian jako wysoki urzędnik nierad był ściągnąć na siebie prześladowania za zbyt wyraźne uczucia i wspomnienia narodowe. Zostawała jedyna otucha w dwóch listach Morawskiego o klasykach i romantykach; lubo i to jego wystąpienie miało charakter więcej pośredniczący niż wojujący przeciw tym ostatnim, którym wyraźnie sprzyjał. Usposobienie Morawskiego najlepiej maluje się w odpowiedzi na urągliwe doniesienie o wyjściu Meliteli.

„Meliteli—pisze on—jeszcze tu nie mamy, a więc o niej sądzić nie mogę. Gdy jednak prócz Osińskiego i twego ojca wszyscy prawie lutniści tam figurują, musi być coś dobrego, a przynajmniej dobre musi złe przeważać. Zresztą pytam się, czy mieliśmy już jaki lepszy *Almanach*? Cóż wydawca winien temu, że dwaj najznakomitsi wieszczowie nic mu nie dali, a że ci, co przysłali swoje płody, nie umieli nic lepszego napisać? Gańcie co złe, grube, niedorzeczne; ale pozwólcie co ma jaką piękność w sobie lub cechę oryginalności, tak rzadką u nas, że choćby ta oryginalność i błędna była, już ma zasługę ze względu śmiałości i odrębności od innych. Radbym, aby indygnacja przeciw Meliteli wzbudziła ogień do *Ziemiaństwa*. Uściskaj twego drogiego ojca, tak strasznie zmartwionego tą Melitelą! Bo i jakież to nazwisko! czemu nie coś rzymskiego? Byłby prędzej przebaczył."

Morawski zabierał się naprawdę wydać swoich klasyków i romantyków. Prosił on Andrzeja Koźmiana, którego zdatości cenił, aby mu zrobił kilka przypisków do tych wierszy, które Fredro gwałtem chce wydać.

Andrzej K. pisze: „Gienerała przypiski bardzo dobre (do romantyków), nic nie ma dodać ani ująć; lub raczej byłoby co dodać, bo zadelikatnie z warjatami romantykami obchodzi się generał. Jeżeliby co znalazł jeszcze przeciw nim, tobym jutro rano przysłał.”

W innym liście tenże:

„Wracając do przypisków, wymówiłem wczoraj gienerałowi, że oszczędzał zanaadto romantyków. Trzeba było trochę batem ich wyćwiczyć, a szczególnie za te ich recenzje w gazetach. Do rzędu recenzentów śmiesznych należy teraz bez wątpienia Mickiewicz przez Przedmowę swoją; a więc i za nią trzeba było choć raz palnąć; a gienerał tak mu grzecznie tylko wymówił komeraże literackie i to, że nie wspomniał o Brodzińskim. Ale ta wymówka jakże osłodzona pochwałą Wallenroda! W ogólności gienerał okazuje więcej pobażania dla pseudo-romantyków, niż dla pseudo-klasyków; a jeżeli ci ostatni sont un peu ignorants, les premiers sont fous et impertinents.“

Morawski wiersze swoje gotowe do druku posłał był Koźmianowi (ojcu), jak to zwykle robili między sobą, zasięgając wzajemnego zdania i rady. Widać jednak, że list o klasykach nie musiał zyskać aprobaty.

Tego rodzaju spory i wyrzuty nie psuły starej przyjaźni, ani osłabiały wzajemnego szacunku między niemi. Różnili się w zdaniach literackich; nie różnili się w uczuciach obywatelskich. Z tym wszystkim wiersze o klasykach i romantykach spóźniły się z wyjściem na świat,—a tymczasem różne objawy nowego ducha, wkradające się nawet do najregularniejszych dotąd instytucji, wciąż niepokoiły sędziwego radcę stanu.

Pisze on z Warszawy 2 maja 1829:

„Onegdaj odbyło się posiedzenie Towarzystwa Przyjaciół nauk. Wynudziły się kobiety, szczególnie namiestnikowa ¹⁾ (którą także już podbił Niemcewicz) czytaniem naszych literatów. Już sen obejmował wszystkich, kiedy nadeszła kolej na poezję. Gdyby było przypało na mnie czytać, byłiby pewnie zaczęli chrapać, lecz skoro zaintonował harmonijnym głosem Osiński kilkadziesiąt wierszy o drzewach, a następnie o pszczołach i pożarze (ustępy z Ziemiaństwa), nie zasługują wiersza, lecz cudownej deklamacji ożywił ostatnie 20 minut, w któ-

¹⁾ Wdowa po księciu Zajączku namiestniku Królestwa, pierwsza z warszawskich elegantek, choć już w podeszłym wieku.

rych odczytał 250 wierszy. Uważałem aprobatę po twarzach uczniów, lecz Mochnecki stał zachmurzony i pewnie napisze jakiś sarkazm na literaturę klasyczną, a tak ja padnę ofiarą za Towarzystwo, że chociaż nie w gronie swoim romantyków, przecież wypuszczą ich ex nexu, a nas wystawią na pociski. Musiałeś czytać w numerach Gazety Polskiej satyrę na Towarzystwo, do której należał Lelewel, mszcząc się za Mickiewicza. W drugim zaraz numerze był umieszczony artykuł Witwickiego, pod imieniem Prawdzica, w którym Horacjusza z błotem zmieszał, a wyliczając poetów nowoczesnych, którzy zasłużyli być wzorem, tylko Niemcewicza, Woronicza, Fredrów i Brodzińskiego uznał być godnymi stanąć obok Mickiewicza, Odyńca i Korzeniowskiego. Ciebie więc już wypychają do nas, skazanych na wieczną proskrypcję... Gdybyś tego szczerą czuł potrzebę, tobys puścił swoich romantyków, lecz się wszyscy boicie Mickiewicza, a nas wypychacie...“

Nie wiem, czy ta uwaga w duchu powiedziana sobie, że na cóż się zda ciągle narzekać i łąać na pismaków, a samemu nie nie produkować? czy naciskania Morawskiego to sprawiły?—dość, że Koźmian rąco się zabrał do skończenia Ziemiaństwa. O postępie i doprowadzeniu do końca swojej pracy tak donosi Morawskiemu, zdając w różnych czasach sprawę z tego, co robił:

„Zółwim krokiem postępuje moje bydło rogate: nie wiem, czy zastaniesz 60 wierszy, gdyż się muszę ścisnąć, a krótkie pisanie więcej kosztuje pracy, niż długie.”

„... Ziemiaństwo moje zbliża się do końca; gdyby tak była wolna myśl, jak jest chęć, jużby się było skończyło. Będzie to ostatni śpiew na grobie klasyczności, jak nazywają. Bierz, bierz górę szal wszelkiego rodzaju. Nie masz na niego podobnych biczów, jak we Francji. Mickiewicz wstąpił się Herostratesa czynem... Mówiono mi, że Niemcewicz w zagajeniu swoim (Tow. Prz. N.) ma wynurzyć zdanie swoje, czy też zdanie Towarzystwa względem romantyzmu, aby pogodzić bazarzów gazetowych, lecz jeżeli prawda, że, nazywając Mickiewicza gienjuszem, ma powiedzieć, że Racine nieprzydatny jest naszemu wiekowi i smakowi, ubolewałbym, aby w jednym prawie czasie, w którym na scenie paryskiej odezwał się głos: à bas Racine! od zgromadzonego gminu, ten sam dał się słyszeć w sali Towarzystwa Przyjaciół Nauk.“

Otóż i Ziemiaństwo stanęło u końca! Autor dwadzieścia lat pisał to poema, które, lubo wszystko przechodzi, czego można żądać od poprawności stylu, harmonijnej sztywności dobranych wyrazów, jednakowoż dla braku ciepła i kolorytu

nie mogło sprawić spodziewanego wrażenia, ani też przyćmić płodów Mickiewicza, które cały naród pochwylił i umieścił zaraz przy sercu. Łudzili się więc klasycy mniemając, że z ukazaniem się Ziemiaństwa zatrzymają prąd nowych wyobrażeń literackich. Materiał, którym posługiwali się pisarze tak zwanej klasycznej szkoły, był już nie do użycia, jak spróchniałe drzewo. Oddalonym od owych czasów, trudno nam dzisiaj pojąć, jakim sposobem nie otworzyły się im oczy na ich własną niemoc i na nowe żywioły, dające młodość i życie poezji? Cemu oni, którzy tak lubili pokonywać trudności, woleli zostać przy swoich konwencjonalnych prawidłach i konwencjonalnym stylu, niż kusić się o to, żeby mieć swój własny styl, a materiał brać z pierwszej ręki, nie czekając, czy go użyć pozwoli Horacy, Wergili lub Racine? Ziemiaństwo więc pozostało w tece, znane z niektórych wyjątków publiczności warszawskiej. Niebawem też nadszedł rok 1830 i okoliczności, niesprzyjające tej publikacji. Dopiero później¹⁾ wydrukował je Edward Raczyński swoim nakładem, także pojąc się miłą nadzieją nadania innego zwrotu piśmiennictwu; lecz utwór ten wzbudził mniej, niż się spodziewano, rozgłosu. Nie była to pora entuzjazmowania się dźwięcznym wierszem, goniącym więcej za poezją słowa, niż za poezją myśli, ani malowidłami szumnej manjery Lebrun'a, silącej się nadawać cechę majestatycznej wielkości przedmiotom już obrobionym, a zawsze z jednej strony. Zjawił się malarz, który, trzymając na kolanach kawałek płótna, usiadł przed Ziemią naszą i rzucił jej szkic, chwytając najcharakterystyczniejsze rysy, ukolorowane poezją natychmiastowego, bezpośredniego uczucia... Robota nagle, improwizowana—wykończenia żadnego, a o cechy stylu jakiego znamienitego mistrza ani pyta. Cemuż do tego szkicu palili się znawcy i nieznawcy? Cemu na widok olbrzymiego kartonu Koźmiana pozostali zimni?

Tajemnica poezji.

Feralny to był ten rok 1829 dla naszych klasyków. Upokarzająca przedmowa Mickiewicza i Melitele, bratająca dwa przeciwnie obozy, a co najgorsza, pewna nietaktowność w opiniach tych, których uważano za swoich, wszystko to zapowiadało blizki upadek dotychczasowych powag. Towarzystwo Przyjaciół Nauk, mające się w pewnym względzie za francuską akademję czterdziestu, zaczęło już pokazywać zatrważające symptomy. Koźmian donosi o tym Morawskiemu:

„Czemu się trochę lękał, tegom doczekał, że Towarzystwo

¹⁾ We Wrocławiu 1839 r.

wo spokojne i poważne pod Albertrandim i Staszicem, pod nieoszacowanym, pocziwym, zabawnym, lecz już zbabiałym Niemcewiczem¹⁾, mimo jego instynktu gienjalnego, którym, jak powiadasz, nigdy nie błdził,—zamieni się w krzyczącą pod straganem babę, i wzorem jej będzie się wadziło na bruku? Chcecie? niechże się tak dzieje!...

„....Zwyczajem swoim Niemcewicz nie posłucha mojej rady; wypali swoje i narobi nowej po gazetach walki. Już się nawet gotują Krysińscy, Wołowscy, i t. d., ale choć to zajadłe klasyki i niezgrabne, lecz rozum mają za ciężki, na żadne względy nie uważają i przesyłają krytyki do zagranicznych gazet.“

Inny list jego w tej materji wolniejszy już od niepokojących przewidywań:

„Wczoraj byłem na sesji Towarzystwa Przyjaciół Nauk; była bardzo interesująca. Niemcewicz posłuchał trochę mojej rady, nad moje spodziewanie powiedział tak, jak był powinien powiedzieć. I teraz chyba taki szalony, jak Krysiński, może się gniewać. Powiedział prawdę i pseudo-klasykom i romantykom, a zakończył twemi wierszami z listu o klasykach... Książę Adam powiedział o Woroniczu dziwnie pięknie, rzetelnie, treściwą i szlachetną wymową. Zdaje się, że jakaś sympatja rzetelności, smutku i miłości ojczyzny natchnęła go. Pięknie napisał, rzetelnie czytał; mało kto nie płakał, słuchając, a gdy skończył, mimowolnie wszystkich dłonie dały huczny pokłask. Od założenia Towarzystwa drugi to jest dopiero przykład takiego tryumfu. Otrzymał go Osiński za odeę na powrót wojska w roku 1809, i dziś książę Adam. Mało rzeczy zrobiło mi taką przyjemność... Tłumaczenie Kamieńskiego (Ludwika) Jerozolimy w najpiękniejszym epizodzie Kloryndy, czytanej cudownie przez Osińskiego, nie zrobiło spodziewanego efektu; bądź już uczucia były nasycone narodowym przedmiotem, bądź czegoś brakowało tłumaczeniu, bądź niewdzięczną formą oktawy — zgadnąć nie można. Osiński mi mówił, że niekontent z wierszy, i w istocie nie zawsze są szczęśliwe wyrażenia, chociaż zdawały się wierne.“

Wyjąłem umyślnie te zdania, aby pokazać, jak, bawiąc się samemi tylko tłumaczeniami, nie znano się na warunkach

¹⁾ Niemcewicz na publicznym posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk chciał sąd o poezji wyprowadzić na właściwe pole krytycyzmu. powiadając, że jeśli głupstwem jest pisać, jak autor lwowski sonetów (J. N. Kamiński): „Wypilem duszą duszę kałamarza“—to znowu taki wiersz: „O pieśni gminna, ty arko przymierza!“ aczkolwiek z romantycznego pióra pochodzi, należy do najwspanialszych kwiatów poezji.

tłumaczenia. W jakiejże formie wiersza miał być Tasso przekładany, jeśli Koźmianowi nie podoba się oktawa oryginału? Czy ciężkie aleksandryny, w jakich Mier z Trembeckim spolszczali kawałki Jerozolimy, mają zaletę, przypominającą włoski oryginał? Osobliwa rzecz, że ludzie, którzy mieli i myśli, i uczucia szlachetne, obywatelskie, a i niepospolity rozum w sprawach publicznych, w zdaniach literackich stali niżej zera. Dyletanci poprzestawali na najpowierzchniejszej części sztuki, a cokolwiek szło głębiej, odpychali jako niezrozumiałe, niejasne.

Jeszcze cała nadzieja zostawała w Morawskiego listach o klasykach i romantykach, które już były napisane, ale brakowało przedmowy i przypisków. O te ostatnie prosił Morawski Andrzeja Koźmiana, którego naukę bardzo cenił.

Wyszły nakoniec te długo oczekiwane listy Morawskiego, podobno we wrześniu 1829 roku. Dzienniki pochwyliły i posypały się liczne artykuły za i przeciw. Koźmian (ojciec) tak o tym donosi swemu przyjacielowi:

„O twoich listach klasyk wiele głupstw napisał, lecz jednak niewszystko. Wystąpił teraz sławny romantyk Moch-nacki. Nawet gniewać się nie można za niedorzeczności takiego rodzaju. Ani sensu, ani związku. Ciebie, siebie nie rozumie, a nabazgrał długą kolumnę bez sensu, bez rozsądku, tylko ze zwykłym naszych romantyków grubiaństwem, nierozsądkiem, a nadewszystko preumpcją. Zapewne ruszyłeś ramionami z politowania. Tak tu wszyscy zrobili. Gdy romantycy wzięli za godło: „Mądry przedysputował, ale głupi pobіл”—któż się wda z temi pijanemi parobkami literatury w polemikę?... Chłędowski i Szaniawski są szczególni opiekunami tego warjata, a uzuchwalony ich protekcją powiedział sobie i wydrukował, że więcej waży niż Krasicki, Trembecki i Szymanowski. Grzymała Franciszek, indygowany tym artykułem, zabiera się odpisać i odłajać, lecz dotąd jęczy i nie może nic urodzić.

Na tym kończą się rozprawy i uwagi w ważniejszych kwestiach literackich zebrane z tych korespondencji. Odtąd rzadko tylko spotyka się gwałtowniejszy wybuch gniewu przeciw romantykowi, chyba że z obozu ich jaki nowy plód wystrze-lił i żółć klasyczną poruszył.

Ukazanie się Zamku kaniowskiego, tej silnej męskiej poezji, wyrwanej z duszy rozszalałego hajdamactwa, wywołało indygnację Morawskiego, który tak o tym w liście donosi:

„Cały tydzień na moją zwykłą chorobę leżałem w łóżku, i wiesz, com robił? Oto drugi raz czytałem Zamek kaniow-

skil! Szczęściem, że mię nie dobił! Przez jakież konwulsje przechodzić trzeba! Wszystkie razem budzi uczucia: śmiech, gniew, oburzenie, a najwięcej litość. Ale co mię najbardziej zasmuca, to ta mowa polska, która już do tego stopnia upada, że podobne dzieła nie tylko głoszone drukiem, lecz i czytane bywają. Jakże krótkiego czasu było potrzeba do tak sprostego jej oszkaradzenia!

Morawski przeląkł się prowincjonalizmów, wprowadzonych do mowy pisanej. Nie pojmował on, że bogactwo języka ogromnie na tym zyska; ale przecucie ostrzegało go, że poza tym coś innego się ukrywa, co przeprowadzone przez wszystkie inne konsekwencje mogłoby podkopać idealną jedność całości...

Te mgliste, przecuciowe instynkty zachowawczości kierowały całą szkołą klasyków; stąd taka nienawiść do nowatorów romantycznych, takie uparte odmawianie im wszelkich darów pisarskich, taka ślepotą na uderzające piękności w ich utworach. Na nieszczęście nie umieli oni, ani mogli pozycji swojej obronić wobec zentuzjasmowanego ogółu młodych, żywiej czujących, mniej rozumujących umysłów i wobec zwyczajów, jakie codzień odnosiła nowa poezja i nowe wyobrażenia w literaturze. Nie mając tedy w tym kierunku żadnego punktu oparcia, prócz swojej powagi i powag, którym hołdowali tradycyjnie, musieli ulec prądowi, który nie tylko ich reguły pisarskie, ale i polityczny porządek rozsądził.

Konserwatyści, pełni patryjotyzmu i doświadczenia, lękali się o stratę nabytków, osiągniętych przez rzadki zbieg okoliczności, nabytków, zostających na łasce mocniejszego; przeczuwali, że się coś innego święci poza tym sztandarem ballad i wierszowanych powieści. Osiński, choć głowa tak lekka, a pewnego razu odezwał się w gronie zaufanych przyjaciół: „Kiedy widzę, że dziś zwłaszcza młodzież wielbi i podziwia to, czego my zrozumieć nie możemy, wpadam na myśl, że ta ich poezja, ta ich mowa jest jakby umówionym, tajemnym między niemi językiem, nieprzystępnym dla nas znaczenie kryjącym.” Na te słowa wszyscy zamyslili się i zamilkli, tylko Niemcewicz odezwał się: „Choćby ta uwaga sprawiedliwa być miała, nie trzeba jej powtarzać.”

Przytoczony ten fakt w jednym z późniejszych pism Andrzeja Koźmiana dowodzi, że przewidywano, na co się zano-si—a jednak dziwnym sposobem nie umiano niczym zażegnać groźącego niebezpieczeństwa, ani wpływem dalej widzącego patryjotyzmu, ani przewagą wytrawnych zdań literackich. Komera-że stołeczne, kilka satyr i ucinków, a nakoniec listy, potrącające o kwestje bieżące, które posłużyły do złożenia powyższego

rys, oto wszystko, na co się wysiliły ówczesne powagi klasycznego obozu. Przyznając sobie nieomyślność i zarozumiałą wyższość tam, gdzie jej nie mieli, musieli przyjąć rolę stronnictwa i wytrzymywać szturm literackie, podkopujące jednocześnie ich autorską i obywatelską powagę.

Oda do Młodości dotrzymała swego programu, któremu nie mógł przeszkodzić List do Pizonów, tak samo, jakby kto dla zasłonięcia się od trąby powietrznej stawiał parawaniki z chińskimi karykaturami.

Tych kilka ostatnich uwag sędzę być potrzebnymi dla osłabienia śmieszności, jakaby mogła padać na warszawskich klasyków za ich gniewy, szyderstwa, wzgardliwe zdania, wymierzane przeciw romantykowi. Tym ostatnim nic a nic nie przeszkodziły one wznieść się do tego szczytu, na którym znalazła ich dzisiejsza potomność. Mickiewicz, Mochnacki, Witwicki, Goszczyński, Odyniec doszli, dokąd doprowadzić miał gienjusz lub talent, a i sami koryfeusze klasycznego obozu, przejrzaawszy później, abdykowali z wielu swoich uprzedzeń i nienawiści, a co lepsza i z przestarzałych teorii. Kajetan Koźmian w młodszych latach, kiedy miał oczy wlepione w Wergila i Horacego, nie byłby podolał Czarnieckiemu i nie ułał takiego bronzowego posągu swemu bohaterowi, jak później, kiedy rozgrzany ciepłem śpiewaka Przedświtu, rozszerzył horyzonty swej wyobraźni i uczucia.

Generał Morawski, który w czasie klasyczno-romantycznego boju często bił się z myślami, a jednak nie odstępował swego sztandaru, — później, kiedy go gniotły więzy zwietrzałych teorii i nacisk koteryjny, posłyszał w głębi duszy wielki ton pieśni rodzimej i stworzył Dworzec swojego dziadka. Andrzej Koźmian, wtedy młodzian, wytresowany w konwencjonalnych regułach stołecznych salonów, zmienił także swój ciasny sposób widzenia i w późniejszych pismach umiał wybornie oceniać ducha tamtej epoki i ludzi. Jeden tylko Osiński zstąpił do grobu ze swoją Odą do Kopernika, z Laharpe'm pod pachą i z dwoma wierszami parodji z Dziadów.

Nie przeszkadza to jednak, żeby korespondencje, z których podałem wyjątki, nie miały być komentarzem do wyobrażeń literackich, mających obieg od r. 1823 do 1830.

Aczkolwiek literacki ten rozterk poszedł dziś w zapomnienie, stłumiony tryumfem wyobrażeń innego pochodzenia i porządku, niemniej dowiódł on najistotniejszej żywotności naszej literatury.

Gdyby naród nasz, jak wiele innych, produkował same tylko książki, a nie literaturę — nigdy nie przyszłoby do walki.

Namiętność ścierających się z sobą opinii dowiodła właśnie ważności rzeczy, o którą szło jednym i drugim.

Naodwrot, tam, gdzie były książki, a literatury nie było — romantyzm usadowił się bez oporu, jak modna nowość, i nic więcej.

Kilka słów o okresie klasycznym w literaturze polskiej.

Z „Obozu klasyków” Lucjana Siemieńskiego czytelnik mógł zapoznać się ze stanowiskiem klasyków w walce z romantykami. Pomimo, iż pseudoklasykom polskim poświęcimy oddzielny zeszyt, obecnie jednak czujemy się w obowiązku zapoznać czytelników z ogólnym charakterem tego „obozu” i z ich rzeczywistymi zasługami. Uczynimy to przez przytoczenie wyjątków z dwu dzieł: z „Historji literatury polskiej” d-ra prof. Romana Pilata (1908 r.) i z „Dziejów literatury polskiej” d-ra prof. Aleksandra Brücknera (1903 r.).

Z tomu IV pracy prof. Pilata podajemy rozdział, zatytułowany: „Ogólna cecha okresu i podział.” Mowa tutaj o literaturze drugiej połowy XVIII i początku XIX wieku.

„Najogólniejszą cechą literacką tego całego okresu w literaturze jest panowanie odrębnego systemu wyobrażeń literackich, osobnej teorii literackiej, która mniej więcej od środka XVIII wieku wchodzi u nas w praktykę, ustala się, rozwija się i ogarnia do tego stopnia umysły poetów i pisarzy, że staje się znamienną właściwością całej produkcji literackiej. Jest to tak zwany klasycyzm francuski. W czym ta teoria polegała, jakie były jej zasady, jaki wpływ, korzystny lub niekorzystny, wywierała na rozwój współczesnej poezji, o tym wszystkim później obszerniej pomówimy. Narazie wystarczy nam, w celu uchwycenia jej ogólnej charakterystyki, zwrócić uwagę na dwie okoliczności, mianowicie, że teoria ta przyniesiona została z zewnątrz, z Francji, jako już zupełnie gotowy, rozwinięty system literacki (dodajmy nie tylko do naszej literatury, ale poprzednio do literatury innych narodów europejskich), a powtóre, że nie była ona w gruncie rzeczy niczym nowym, gdyż zasadzała się głównie na naśladowaniu literatury starożytnej, klasycznej, którą, jak wiadomo, zasilają się już poprzednie wieki tak zagranicą, jak u nas. Nie ulega wątpliwości, że to naśladowanie było w odmienny sposób pojęte, niż dawniej, że kla-

sycyzm francuski nie był wcale czystym klasycyzmem starożytnym, lecz raczej mieszaniną klasycyzmu i innych pierwiastków, obcych literaturze starożytnej, ale zawsze ostatecznym źródłem tej, niby nowej, teorii była znowu literatura klasyczna. Fakt ten jest w ewolucji powszechnej literatury zjawiskiem niezmiernie ciekawym; ten sam klasycyzm starożytny, który w XV i XVI wieku, jako humanizm, renesans, sprowadził za sobą odrodzenie literatur wszystkich narodów europejskich i wywołał wszędzie niezwykły jej rozkwit, teraz po upływie dłuższego czasu pojawia się po raz wtóry w modyfikacji, w formie klasycyzmu francuskiego, także jako pierwiastek ożywczy, odradzający, i szerzy się, tym razem z Francji, po całej Europie, podnosi ponownie literaturę europejską z upadku i zapewnia im na czas niejaki okres świetnego rozwoju; jest to dowód, jak ważnym i potężnym czynnikiem cywilizacyjnym była literatura klasyczna.

Ale ten klasycyzm francuski, który wraz ze swoją teorią literacką stanowi najogólniejszą cechę całego okresu naszej literatury od drugiej połowy XVIII do początku XIX wieku (1815), nie ukazuje się w swoich objawach i skutkach stale jednakowy i niezmienny. Przeciwnie, pod wpływem zmiany stosunków i okoliczności, zresztą wskutek naturalnego biegu rzeczy, miał on rozmaite stadja rozwoju i przedstawia się stosownie do tego rozmaicie na zewnątrz w swoich objawach i skutkach. Mianowicie rozróżnić można u nas dwa wyraźne stadja rozwoju: pierwsze stadjum stanowi panowanie króla Stanisława Augusta, tak zwane czasy stanisławowskie; drugie stadjum — czasy porozbiorowe i Księstwa Warszawskiego.

W czasach stanisławowskich jest klasycyzm francuski dążnością nową, świeżą, pełną siły i żywotności i podnosi nieznane przedtym hasła, szerzy naokoło siebie ruch i życie i wydaje cały zastęp zdolnych, po części znakomitych pisarzy i cały szereg dzieł wybitnego znaczenia. Rezultatem jest odrodzenie się literatury, bujny i świetny jej rozwój. W czasach porozbiorowych i Księstwa Warszawskiego ukazuje się ten sam klasycyzm francuski, jako zasada literacka powszechnie uznana, a nawet z większą ścisłością i bezwzględnością zastosowywana, niż poprzednio, ale już przeżyta, wyczerpana i stopniowo coraz więcej słabniejąca. To też w pierwszym stadjum uwydatniają się w literaturze głównie, a przynajmniej w znacznej części, dodatnie strony tego kierunku literackiego, to, co było w nim rzeczywiście dobrego i korzystnego dla rozwoju współczesnej literatury (zwłaszcza wobec poprzedniego stanu rzeczy w czasach saskich); w drugim późniejszym stadjum wychodzą na jaw wyraźnie niedostatki, niekorzyści, cechy ujemne i szkodliwe

i ukazują się stopniowo coraz jaskrawiej, aż do chwili, w której pojawia się nowy, zupełnie odmienny prąd umysłowy i literacki (tak zwany romantyzm), który obala przestarzałą teorię klasyczną i sprowadza dalszą ewolucję w wyobrażeniach literackich.

Jak widzimy, okres naszej literatury, obejmujący drugą połowę XVIII i początek XIX wieku, pomimo wspólności ogólnego charakteru, dzieli się na dwie pomniejsze doby: czasy stanisławowskie (1764—1795) i czasy porozbiorowe i Księstwa Warszawskiego (1795—1815). W tym podziale odgrywają także stosunki rzeczywiste, mianowicie wypadki polityczne, bardzo ważną rolę.

„Obóz klasyków”, o których mowa w zeszycie niniejszym, to przedstawiciele literatury doby drugiej, czasów porozbiorowych. Nie mając możności zająć się obecnie szczegółową charakterystyką polskiego klasycyzmu (gdyż kwestji tej poświęcimy zeszyt oddzielny), uważamy za właściwe podać w krótkości choćby ogólne cechy tego kierunku, który, jak wiadomo, zapoczątkowała literatura francuska.

„Charakter klasyczny, czytamy w literaturze prof. Pilata, łączy się ściśle z charakterem dworskim, i można prawie powiedzieć, że te dwa pierwiastki, razem zebrane, stanowią jądro tak zwanego klasycyzmu francuskiego...

Wskrzyszony napowrót klasycyzm nie mógł uwolnić się od tak potężnego wpływu (t. j. wpływu stosunków francuskich za czasów Ludwika XIV) i nagiął się do współczesnych wyobrażeń, zmienił trochę swojej barwy, stosując się do wymagań dworskości. Był to, jak słusznie zauważono, klasycyzm, przybrany w perukę i wykwintny strój salonowy dworu Ludwika XIV.

Nowe te zasady literackie, będące kombinacją klasycyzmu z dworskością, weszły stopniowo w praktykę we Francji już około środka XVII wieku; jako osobną teorię, zupełny system, sformułował je dopiero w ciągu drugiej połowy XVII wieku Boileau w głośnym dziele: *L'art poétique*....

Boileau, i to jest rzecz charakterystyczna, cechująca dążności literatury z czasów Ludwika XIV, nie zajmuje się wcale głębszymi zagadnieniami o początku i istocie poezji, lecz ma przedewszystkiem na oku stronę jej formalną.... Jest to zatym zbiór reguł i przepisów praktycznych, uwzględniających prawie wyłącznie technikę poetycką.

U nas podobny kodeks literacki ułożył Franciszek Ksawery Dmochowski, p. t. *Sztuka rymotwórcza* (1788), lecz jest to zaledwie niedołążne przerobienie, a w części nawet tylko tłómaczenie dzieła Boileau.

.... „Trzeba przyznać, że system klasycyzmu francuskiego (i dla naszej literatury) nie był bez pewnych, dość ważnych korzyści dla rozwoju poezji, i że niektóre cechy poezji, wynikłe z tego systemu, mają więcej niż chwilowe, t. j. odpowiadające ówczesnym stosunkom, znaczenie.

Do takich cech należą przede wszystkim: wielka jasność, przejrzystość treści i wielka precyzja, wykończenie formy.

Ponieważ według teorii klasyczno-francuskiej kierującą zasadą i podstawą w produkcji literackiej miał być rozum, t. j. raczej zdrowy rozsądek (*le bon sens*), przeto poezja musiała stać się rzeczą trzeźwej refleksji i trzeźwego zastanowienia się i obliczania się“....

Ponieważ następnie teoria klasyczna przejęła się zasadą dworskości, musiała więc stać na gruncie wyobrażeń i poglądów towarzystwa salonowego; stąd pochodzi u niej brak prawdy i konwencjonalność, czyli zastąpienie prawdziwych objawów życia ludzkiego surogatem utartych wyobrażeń towarzyskiego życia.

.... „Nareszcie bezwzględne narzucenie całego systemu ściśle sformułowanych reguł i prawideł miało ten skutek, że, wprowadzając w poezję porządek i jednolitość stylu, z drugiej strony tamowało swobodny jej rozwój i jakby jakim łańcuchem ścisnęło jej organizm, który stosować się musiał teraz do ciasnych form jednostronnej teorii. Wskutek tego z jednej strony indywidualność poety, właściwości jego talentu i natury nie mogły w poezji znajdować swego wyrazu, z czego wykwitła szablonowość, jednostajność, a z drugiej strony czynność poetycka straciła charakter prawdziwego tworzenia i stała się z biegiem czasu w znacznej części mechanicznym rymotwórstwem, prowadzonym pod sznur utartych prawideł.

Wszystkie te cechy ujemne klasycyzmu francuskiego, związane ściśle z jednostronną teorią przez niego utworzoną, widoczne są na poezji naszej okresu stanisławowskiego, ale nie ukazują się odrazu jaskrawo, jako niekorzyści i szkodliwe niedostatki. Przeciwnie, jak długo wskutek opłakanego stanu literatury, stworzonego epoką Sasów, zachodzi potrzeba zaprowadzenia jakiegoś ładu i porządku na polu poezji, tak długo klasycyzm francuski, jako nowa, świeża dążność, wynikająca z rzeczywistej potrzeby, oddaje poezji wielkie przysługi. Cechy jego dodatnie są tak wyraźne, korzystne dla współczesnego rozwoju poezji, że zakrywają i zacierają to, co było w nim ujemnego. Poeci, znakomitsi nawet, na podstawie jednostronnego systemu literackiego działają ze skutkiem, obracają się w obrębie nowych prawideł i przepisów bez trudności, bo czują potrzebę

jakiegoś systemu i wydają znaczną ilość utworów, które, jeżeli nie są arcydziełami, to zawsze dziełami wysokiej wartości, a przynajmniej niemałego pożytku. Dopiero później po rzeczywistym odrodzeniu się poezji pod koniec czasów stanisławowskich, wychodzą niedostatki klasycyzmu francuskiego stopniowo coraz widoczniej na jaw, zwłaszcza u podrzędniejszych poetów, i wtedy powoli nastają czasy, w których żywotność całego systemu zmniejsza się, ale te już w znacznej części sięgają w okres następny czasów porozbiorowych.“

I wówczas jednak, w czasach porozbiorowych, czciciele „zdrowego rozsądku“, usuwający na bok uczucie i wyobrażenie, położyli prawdziwe zasługi, choć już nie na polu literackim, lecz społecznym. W celu wykazania tych zasług przytaczamy wyjątek z *Dziejów literatury polskiej* Al. Brücknera (r. 1903, t. II, str. 43, 44 i 45), w końcu którego autor zwięźle określa istotne zasługi klasyków warszawskich.

.... „Tak dobiegał klasycyzm do schyłku, ale nie było mu dane zamrzeć w spokoju ani zdawać służby publicznej na wdzięcznych dziedziców; luna nocy listopadowej zaświeciła nad jego straceniem, doraźnym, nieodwołalnym.

W tych czasach, kiedy on panował, najpierw niepodzielnie, potem, po r. 1820, z coraz liczniejszymi i znaczniejszymi uszczerbkami, zmieniła się postać literatury, warunki jej i kierunki, doszczętnie. Najpierw ześwieczczyła się ona; gdy za Stanisława dziewięć dziesiątych piszących byli duchowni, teraz wycofali się duchowni zupełnie niemal z literatury, przynajmniej z nadobnej; utrzymywali się między historykami, bio-i bibliografami, a zasilali głównie teologię.... Pozbyła się literatura tonu moralizującego, kaznodziejskiego, najzupełniej i coraz się w niej uszczuplało miejsca dla księdza.

Jeszcze rychlej i gruntowniej pozbyła się ona nastroju panegirycznego. Nie było dworu, nie było i poetów-szambelanów; uznanie i nagrody rozdawała wielka publiczność; krytyk czy recenzent bywał jej organem.... I demokratyzowała się literatura; literat zaczął nawet marzyć o tym, by żyć z pióra, nie kłaniając się nikomu, by oddać się zupełnie zawodowi swemu, nie obciążając się zbyt inną, zyskowniejszą czy tylko pewniejszą pracą obowiązkową, i przestawał parnas być miejscem swobodnej towarzyskości, wzajemnej admiracji, najgładszego obejścia; walki koteryjne nabierały odtąd mimowoli ostrzejszy charakter. Ale zawód był każdemu otwarty; w miarę ustępowania duchownych wzmożła się liczba mieszczan i szlachty najdrobniejszej; literatura pospolitowała się i rubaszyła, a zyskiwała na przyływie sił nowych, oryginalnych, choćby nie zawsze wysoko kulturalnych. I wydzielali się powołani od rze-

mieślników a choćby partaczów, i krytyka czuwała nad tym wyróżniała jednych od drugih, chociaż na razie sama z powi-jaków pseudoklasycznych oswobodzić się nie mogła.

Literatura stawiała się coraz bardziej potrzebą, niż roz-rywka, już nie niepróżnującym próżnowaniem. Odrzucała ona najwybitniejszą cechę poprzedniejszego okresu, satyryczną; zamiast pisanja satyr zabierano się do rażnej pracy na każdym polu. Osiągano zadziwiające rezultaty: nawet w najniekorzyst-niejszych warunkach, za księstwa Warszawskiego, podskoczyła np. liczba szkółek elementarnych miejskich i wiejskich ze 137 (w roku 1807) na 1491 (w roku 1814), zasługą Dyrekcji Edu-kacyjnej i Stanisława Potockiego.

Ileż to przybyło przytym szkół wyższych i specjalnych, — uniwersytet Aleksandrowski, szkoła agronomiczna w Marymon-cie, leśnicza, górnicza, instytut czyli szkoła politechniczna (ze Staszicem naturalnie, jako prezesem), wojskowa i t. d. — tak dziwnym krokiem postępowało oświecenie.

Czynność spotęgowana ogarniała wszelkie pola, brakowi przemysłu i rękodzieł miały zaradzić sprowadzanie obcokrajow-ców, negonych przywilejami, wysyłanie zdolniejszych za granicę, budowa fabryk (Żyrardów), ułatwianie kredytu wszelkim przed-sięwzięciom; szczególnie zakrzętnięto się około górnictwa; nawoływania Staszica, składającego w Towarzystwie Przyjaciół Nauk wyniki swych badań geologicznych, nie pozostały bez skutku; utworzono i uposażono w Kielcach. Dyrekcję główną górnictwa i dodano jej szkołę. O gospodarce finansowej Lubieckiego świadczą najwymowniej cyfry: skarb niemal już zbankruto-wany; z niedoborem strasznym, wobec kraju wycieńczonego i wobec moratorium, jako ostatniego ratunku, przy końcu roku, 1830 i deficytów się pozbył i sumą 50 milionów złp. rozporzą-dzał. A wszystko szło drogą jawną, legalną i lojalną.

To są istotne zasługi „klasyków“ warszawskich, nie na polu literatury nadobnej zdobywane; energia jednostek wysoce kulturalnych zbudziła poczucie obywatelskości, otrząsła społeczeństwo z marazmu i zastoju, postawiła je na własne nogi, zaczęła skutecznie pracę organiczną na każdym polu, zreformowała administrację, sądownictwo i szkołę, zreorganizowała i postawiła wysoko młodą armję. Wzorowała się na instytu-cjach francuskich, z kodeksem napoleońskim i biurokracją, z jej departamentami i porządkami; ujmowała w karby całe społeczeństwo. Cóż dziwnego, że przenosiła metodę, tak zbawienną w życiu publicznym na rzeczy „przyjemności i smaku“, że nie opuszczała mody paryskiej i w rzeczach literatury, że w bło-gim poczuciu doświadczeń z dwóch tysiącoleci, metrem fran-cuskim, jednościami, wymierzała plody „gienjuszów“, i, nie czy-

tając, zasądzała wszystko, co się z pod metru francuskiego wy-lamywało.

I spała szczęśliwie literatura piękna, naśladownicza, prze-starzała na obie uszy, przez sen tylko odganiając muchy nie-mieckie i angielskie; niestety coraz dokuczliwsze! A przecież i na tym polu zdobyła zasługi, niegłośne, ale trwałe: przerwa-ne tradycje Stanisławowskie nawiązywała, stworzyła znowu pu-bliczność dla książki polskiej; oświata, jaką szerzyła, spulchni-ła twardą dotąd rolę, i ziarno już było rzucone: ze szkół kla-syków zawziętych wyszli bohaterowie romantyzmu.

Stanowisko Brodzińskiego i Mickiewicza w walce romantyków i klasyków.

(Wyjątki z pracy d-ra Zdzisława Hordyńskiego: „Mickiewicz i Brodziński“. Pamiętnik Towarzystwa literackiego im. Adama Mickiewicza Lwów. 1890).

W przemowie do pierwszego tomu swoich poezji (w 1822 roku) Mickiewicz postanowił wykazać „początek poezji ro-mantycznej, oznaczyć jej charakter, tudzież wymienić wzory celniejsze“, wykazać, „jak rodzaj poezji romantycznym zwany, powstał, jak się doskonalił, i na udzielny, w sobie skoń-czony ukształcił“.

Podobne, nadzwyczaj zbliżone założenie postawił sobie już uprzednio K. Brodziński w rozprawie „o klasyczności i ro-mantyczności“, w której pragnął „zastanowić się nad duchem romantyczności“, określić, „jaką poezję i dlaczego uważamy te-raz za romantyczną, co cechuje różne jej rodzaje, dlaczego w tym wieku tak się jej gust rozszerza“, a zastosowawszy wszystkie swoje w tym względzie spostrzeżenia do poezji pol-skiej, wskazać, „dla czego postąpiliśmy w guście klasyczności, co w niej cechuje oryginalność narodowi właściwą, i co dla nas jest romantycznym?“

Założenie Mickiewicza nadzwyczaj zbliżone do założenia Brodzińskiego w jego rozprawie „O klasyczności i romantycz-ności“ naprowadza na ściślejsze porównanie tych prac, mają-cych, jakby się zdawać mogło, cel jeden, a oddzielonych od siebie przeciągiem lat czterech. Porównanie to przekonywa nas, iż pomiędzy rozprawami temi istnieje w rzeczywistości zwią-zek istotny i ścisły.

Obaj poeci trzymają się ściśle historii, czyli owego, jak się Mickiewicz wyraża, „następstwa zdarzeń”, obaj też zaczynają od poezji greckiej. Zwrócić należy uwagę na podniesione z naciskiem zdanie Mickiewicza, iż „poeci greccy w najświetniejszym okresie swojej sztuki zawsze śpiewali dla gminu”, a gdy „rozstali się z ludem i przenieśli na dwory samowładców, gdzie składali pochlebstwa, lub też słabo, niesmacznie, więcej uczenie, niż poetycko naśladowali dawniejsze wzory klasyczne”, poezja, „która była niegdyś potrzebą narodową, przeszła w zabawę erudytów lub próżniaków”. Zapatrywanie o tym ludowym, a raczej narodowym charakterze poezji greckiej, podzielał Mickiewicz w zupełności z Brodzińskim, który twierdził, że poezja każdego ludu natenczas jest prawdziwą i czerstwą, kiedy z ducha narodowego jest czerpaną”. Z tego punktu widzenia obaj poeci wydają wcale niekorzystny sąd o poezji rzymskiej i francuskiej, a zapatrywania ich na tę ostatnią tak są zgodne i niemal jednoznaczne, że dla przykładu przynajmniej przytoczyć je tutaj warto. Poezja francuska nie jest klasyczną poezją, a niżej stoi od rzymskiej, bo „jak męscy Rzymianie—twierdzi Brodziński—nie byli już greckimi młodzieńcami, tak Francuzi miękkości oddani tym mniej Rzymianami być mogli”. Jedną z charakterystycznych cech poezji francuskiej jest „towarzyskość”, a „uderzającą jest rzeczą tak znakomite wydoskonalenie tak ubogiego języka, który acz nad inne żyjące, w budowie nieszczęśliwszy, w tym ze starożytnymi równać się może i tę jedną ma cechę, że jak one stanął na stopniu wykończenia. Jasność, powabność i przyzwoitość stylu jest cechą towarzyskiego ludu”. Lecz styl ten nie uderza „ani nowością, ani oryginalnością”, bo i pocóż o nie poeci starać się mieli, skoro im to nie zapewniało wcale większych u publiczności względów. Prawda, że dzieła francuskie są żartobliwe, dowcipne, polerownością znakomite”, ale „jakże nisko zostaną one tam, gdzie czucie żywo dosięgać powinno. To też poezja francuska jest „zimną, wymuszoną mimo oczywistej staranności”. Słowem „ogólność, cechująca ducha poezji francuskiej, nie jest już ani żywym uczuciem greckim, ani silną sztuką Rzymian”, poezja ta „jestto foremnie strzyżony ogród francuski, w którym żadne drzewko wywyższyć ani rozszerzyć się nie może, którego piękność jedynie na regularności zasadzoną, jedynym rzutem oka zaspokoić można“.

Nie inne zdanie ma o poezji francuskiej Mickiewicz. I on zarzuca jej, że „stosowała się tylko do mody panującej“, która nakazywała poetom „trzymać w karchach swój talent, miarkować imaginacją i uczucie, gdyż wszelki zapęd, wszelkie gwałtowne uniesienie, obrażało przyzwoitość dworską, poszukującą

raczej dowcipu i rozsądku“. „Etykietę panującą na pięknym świecie wprowadzono do świata imaginacji, podciągnięto wszystko pod prawidła rozsądnie ułożone i wydane ozdobnie, bawiono widowiskami dwór i Paryż“. Świat francuski, to według Mickiewicza, „świat stosunków towarzyskich, świat konwencjonalny“, który jest „pod panowaniem rozsądku, dowcipu i formalności“.

Nie o wiele też różni się Mickiewicz od Brodzińskiego w zapatrywaniach swoich na poezję niemiecką, a szkoda doprawdy wielka, iż Mickiewicz w przemowie swojej „poezję gminną, a mianowicie poezję gminną, narodową“ zupełnym prawie milczeniem pominął, zastrzegając sobie na inny raz podanie obszerniejszej o niej wiadomości, tutaj bowiem, o ile się zdaje, byłaby wystąpiła jasno różnica w zapatrywaniach obu poetów.

Podobieństwa te w sądach Mickiewicza i Brodzińskiego, któreśmy tutaj podnieśli, nie wskazują jeszcze bynajmniej na to, aby Mickiewicz poglądy i zapatrywania swoje wprost i jedynie od Brodzińskiego przejął, uwydatniają jednak tym bardziej wielkie różnice, jakie między rozprawą Brodzińskiego a „przemową” Mickiewicza do pierwszego tomu jego poezji zachodzą.

Przedewszystkim różnią się obaj poeci stanowiskiem, jakie w rozprawach swoich zajmują. Jeżeli Brodziński w r. 1818 przewidywał, iż „zdaje się teraz dla poezji polskiej nadchodzić pora, w której zaczynającemu wahać się potrzeba nad obraniem drogi do przybytku pamięci, to jest: czyli tak zwaną klasyczność, czyli tak zwaną romantyczność ma obrać“, to Mickiewicz wystąpieniem swoim w r. 1822 stwierdzał dobitnie, iż pora ta już nadeszła, a raczej, że wahać się nie można, bo wybór już nastąpił. Tak więc, jeżeli Brodziński ze swego stanowiska mógł być tylko krytykiem i sędzią i doradcą, to Mickiewicz musiał być tylko stroną.

Brodziński stanowczo ku nowym prądom się skłania, ale nie bez pewnych, znacznych zastrzeżeń. Myślą jego przewodnią jest zgoda, i wynalezienie jakiegoś *modus vivendi* pomiędzy przeciwnikami; pragnie on poetom, na dwa obozy podzielonym, wskazać drogę jedną, którą jego zdaniem wszyscy iść powinni. Nic wstrętniejszego dla niego jest nad bezwzględne naśladownictwo, bo według jego przekonania, nikogo naśladować nie możemy i nie powinniśmy, chcąc zostać sobą samymi i zachować swoją oryginalność, z drugiej strony zaś sądzi, iż „obowiązkem i koniecznością jest korzystać z tego, co oświecone narody we względzie nauk i umiejętności zrobiły, gdyż zniwo

badań rozumu i doświadczeń do całego rodu ludzkiego należy".

Wszystko to jednak, co od owych oświeconych narodów przyjąć można, przyjmować należy tylko warunkowo t. j. o tyle tylko, o ile się zgadza z przekazaną nam przez dawnych poetów polskich tradycją i o ile odpowiada usposobieniu i charakterowi naszemu narodowemu. Tak więc, nie wyrzekając się wzorów, ani nauczycieli, owszem idąc za nimi, nie powinniśmy być jednak „echem cudzoziemców”. Romantyczność nasza różni się stanowczo od niemieckiej, są nią: „nasze niegdyś miasta, których obwody już czarna rola przykryła; smutne grody, w których nasi królowie przemieszkowali, a do których murów teraz wieśniacy strzechy swoje przytykają; stolica, gdzie teraz na oddzielonej ziemi śpią dwie ukochane rodziny królów naszych i tylu rycerzów; Sybilla, gdzie marne pozostałości świetności naszej przed zagładą uniesiono; mogiły rycerzów, które po niwach naszych wszędzie napotykamy; rycerstwo, co na wzór Eneasza zniszczoną opuściło Troję, nie dla zakładania nowej siedziby na ziemi łatyńskiej, ale dla dochowania oręża z okupem krwi za cudzą sprawę, aby z nim wrócić do grobu ojczyzny, z niesłyszana nadzieją”.

Definicją tą nie zajmował Brodziński jakiegoś nieokreślonego bliżej, połowicznego stanowiska między klasycznością a romantyzmem, nie jest też ona wcale wyrazem dążności do porozumienia lub zgody, opartej na podstawie, nie wymienionych zresztą w rozprawie, wzajemnych ustępstw jednej i drugiej strony; przeciwnie określa ona nowy, odrębny rodzaj „romantyczności naszej”, polskiej, na którą składać się miała spuścizna przeszłości i tradycja przez tę przeszłość przekazana, zadanie uczynienie wymogom postępu i jako pierwiastek trzeci, najgłówniejszy, nasz odrębny, od innych różny narodowy charakter. Na tej zasadzie, na tej podstawie dążył Brodziński do pojednania.

Stanowisko to i ta definicja polskiej romantyczności zupełnie nie odpowiadały Mickiewiczowi. Występował on przede wszystkim jako romantyk zdecydowany, a twierdził, „że dzieł właściwie romantycznych, w całym znaczeniu tego wyrazu, szukać należy u poetów wieku średniego. O tym, co dla nas romantycznym być powinno, co my w zakresie naszej poezji pod romantycznością rozumieć mamy, tak jak to czynił Brodziński, wcale nie mówił, przeciwnie, nie chcąc wyrazem tym nadawać odrębnego jakiegoś znaczenia, powoływał się tylko na definicję Schlegla, Bouterwecka i Eberharda, „którzy pierwsi te wyrazy do teorii wprowadzili i oznaczyli”. Mickiewicz różnił się tedy wówczas, gdy to pisał t. j. w r. 1822 sta-

nowczo od Brodzińskiego w pojmowaniu romantyczności. Dla niego miała ona, że się tak wyrazimy, pierwotne swoje, powszechno-światowe znaczenie, podczas gdy Brodziński, pomimo wielkich ustępstw dla nowego kierunku, starał się jej nadać przecież znaczenie u nas odrębne. Wiele też rzeczy, które Brodziński w rozprawie swojej podniósł, Mickiewicz pominął milczeniem, o innych wydał sąd ostrzejszy.

Przedewszystkiem uderza tutaj brak bliższego rozbioru całej poezji polskiej, która poprzedziła narodzenie się romantyzmu, brak tego odwołania się do tradycji, do przeszłości. Brodziński mówi wiele o poezji klasycznej i o jej wpływie na naszą, uwzględnia nawet do pewnego stopnia ów pociąg do poezji francuskiej, która nęciła ku sobie „wytworem gustu, łatwością, przyzwrotnością i powierzchownymi powabami”, Mickiewicz ku stronie przeciwnej się skłania, chociaż wartość poezji klasycznej, a mianowicie greckiej zna dokładnie i pięknościami jej się zachwycił. Nie mówi on tego wprawdzie wyraźnie, ale z rozprawy jego łatwo wywnioskować można, że jeżeli w poezji motywów narodowych szuka, to w tej przeważnie oprawie, w jakiej je podawali Anglicy i Niemcy, bez względu na starożytną klasyczność, bez względu nawet na tradycję i przeszłość, bez względu na łatwość lub przyzwrotność.

Różnica więc pomiędzy stanowiskiem Mickiewicza i Brodzińskiego jest wielka. W r. 1826 wydał Brodziński „w Dzienniku Warszawskim” swoje tłumaczenie pieśni słowiańskich, które poprzedził dłuższą przemową w formie „Listu do redaktora Dziennika Warszawskiego”. W liście tym podnosi wartość pieśni ludowych dla nowej poezji romantycznej. „Jeżeli dziś zaczynamy mieć poezję naturalną (a często tylko niby naturalną)—pisze on—godna poznać naprzód te, które nietylko najwięcej zgodne są z duchem narodu, ale razem są najpiękniejszym tego rodzaju pomnikiem”. Otóż poezja nowa jest według Brodzińskiego „często tylko niby naturalną” i nie jest „zgodną z duchem narodu”, a romantycy ducha gminnej poezji źle tłumaczą i w obcą, nienarodową szatę stroją. „Wszelkie właściwie romantyczne twory są dla nas obcą, przemijającą modą; a mimo całej pretensji do natury, zawsze od niej dalekie będą, bo malują człowieka i obyczaje, które od natury zboczyły, które czynią zwykłe rozbrat między rozumem i uczuciem, miasto pogodnej ich zgody, jedyne celu szczęścia w życiu i piękności w poezji. W Niemczech szczególnie, po świetnych płodach Schillera, Goethego i Herdera zawiązał się smak przysposobionego uczucia, szukanej oryginalności; a nadzwyczajność w życiu za wieków rycerskich chce się powtórzyć w nadzwyczajności płodów

poetyckich. Czucie zwraca się jedynie do tęsknoty za wiekiem młodzieńczym, który poetyczny entuzjasta zmarnowawszy, zdaje się prawie nie wiedzieć, na co dalsze życie się przyda. Ten duch poezji dzisiejszej, który od Byrona do Francji nawet się zakradł, ani jest obrazem naturalnego stanu społeczeństwa, ani też dążeniem ku niemu." Słowianie mają poezję „czerstwą, bogatą, smak zdrowy, stałą, z naturą zgodną. W charakterze dalecy od żądz dziwacznych, od rozpasania imaginacji, od gwałtownych namiętności, zdolni są do stałego doskonalenia swych obyczajów i smaku." Poeta powołuje się na zdanie Šafarika, który twierdził, iż „modą sławne płody są to parnaskie wulkany, które nas swym blaskiem i hukiem śmiał i głuszą, ale w końcu popiołem tylko zasypują", i przestrzegał, że „ktoby w pieśniach słowackich szukał smoków, rycerzów i duchów, niech ich do ręki nie bierze", w całej poezji Słowian bowiem jest „wszystko przyrodzone, jasne, łatwe i właściwe; tu się pieśni nie wyrabiają, ale same rosną, jak kwiaty na łąkach". Brodziński, powołując się na to zdanie, nie myśli wcale uwłaczać sławie wielkich poetów romantycznych; „dalekim jestem od myśli, zapewniam on, ażeby te proste utwory wyżej cenił nad dzieła sztuki, nad płody gienjuszów, w dzisiejszych czasach zaszczytnie znanych, atoli z pewnością powiedzieć można, że słowiańskie narodowe pieśni, tak jak i obyczaje, prędzej na właściwą drogę poezji naprowadzić zdołają, aniżeli podania romantyczne, niż pieśni ludów germańskich". O „balladach, naśladowanych, tłumaczonych z Anglików i Niemców", powiada on, iż „w ogólności smakowi narodowemu mało odpowiadają", o oryginalnych, że „dzieje i obyczaje Polaków nie wiele do nich źródła dostarczą", że są „najczęściej niezręcznie z pieśni ludu umodnione" i pociesza się tym tylko, że ten „szał nadzwyczajności przeminie".

Brodziński więc znalazł w balladach Mickiewicza podkład prawdziwie narodowy i swojski, tylko na sposób „umodnienia" zgodzić się nie mógł, Mickiewicz, że o nim mowa odgadł, ale krytyka „zadziwiła go niepomału." „Nie mogę wierzyć, pisał on do Odyńca, aby to, co tam o Byronie powiedziano, i w ogólności zdania o poezji niemieckiej i angielskiej, były wyznaniem wiary literackiej Brodzińskiego... Wróży autor, że moda wkrótce przejdzie, chwała Bogu, że i Byronowi taki los przeczynał. Nie myśl, aby mnie zagniewała ta mała wycieczka, ale jeśli wiesz klucz od zagadki, której rozwiązać nie umiem, chciej mi go udzielić... my się tym pocieszajmy, że dobry poeta bywa niekiedy złym krytykiem." Mickiewicz znajdował się wówczas wyłącznie prawie pod wpływem niemieckich i angielskich poetów

i niemieckich krytyków i filozofów. Różnica między zapamiętaniem obu poetów była wielka i musiała spowodować nieporozumienie: Mickiewicz wyraz „romantyczność" brał w właściwym, Brodziński w swoim znaczeniu.

...Każde z dzieł Mickiewicza było silnym ciosem, wymierzonym przeciw fortacy klasyków i sprawiało w niej liczne wyłomy i spustoszenia. Widzieli jej obrońcy, że szeregi ich coraz bardziej się zmniejszają, że może wkrótce nadejść chwila, w której pozostaną sami, odosobnieni, zamknięci w ciasnym kole swoich przekonań, w liczbie daleko szczuplejszej, niż ta, z jaką wystąpili do walki. Jeden z ich najzaufańszych i najbardziej wtajemniczonych, Morawski, zbijał gorliwie zarzuty przez innych Mickiewiczowi czynione, dziwił się im, a z tych, z którymi sam wystąpił, skreślał jeden po drugim z wielkim, jak się zdawało, zadowoleniem. Walczono więc dalej, i to z tym większym zapałem, im mniejsza była nadzieja wygranej.

Jeden Brodziński tylko wśród tego szaleńczego się bitwy zachował umiarkowanie i spokój, mówiono też o nim mało. Mamy jednak o jego wówczas zachowaniu się wobec walczących przeciwników kilka współczesnych świadectw, na pozór zupełnie pomiędzy sobą sprzecznych, a w istocie tak zgodnych, tak jasne rzucających światło na przekonania naszego krytyka-poety.

Oddajmy naprzód głos romantykowi i Odyńcowi. W jednym z współczesnych listów swoich do Goreckiego, nazywa on Brodzińskiego „potężnym sprzymierzeńcem swoim."

Odyniec przyznaje, iż „zbyt szorstko" występował przeciw Osińskiemu, i że Brodziński „jako dojrzały wiekiem i rozumem od niego, umiając lepiej panować nad sobą, po nim także równej względności i umiarkowania wymagał", że mu „udzielał rad i przestróg braterskich". Dla Mickiewicza miał Brodziński, jak się Odyniec wyraża, „szczere uznanie i gorące współczucie", a „życzliwość dla wszystkich młodszych talentów", równocześnie jednak „był on sprawiedliwym w sądzeniu o starszych, którzy w tym wcale nie dawali przykładu z siebie, ani odpłacali się mu wzajemnością."

A cóż mówili ci „starsi" o Brodzińskim? Oto słyszeli oni na obiedzie u Kasińskiego, jak po deklamacji dwóch ballad Mickiewicza, „jednej o prawowiernym Turku, drugiej o Renegacie", które „Odyńczyk litewskim tonem śpiewał", „Brodziński ganił, lecz nie bez zgorszenia i indygnacji Lelewela". Koźmian Kajetan, ucieszywszy się niewymownie bajką Morawskiego p. t. „Kogutek i Gąsięta", przeciw Mickiewiczowi i jego naśladowcom wymierzona, pisał do Morawskiego: „Zabiłeś na wieki Mickiewicza, odtąd nikt nie chce być gąsięciem. Brodziń-

ski i Dmochowski walczyli orężem, a ty maczugą Herkulesa, ty Bajką! Równocześnie Andrzej Koźmian niemniejsze uznanie Brodzińskiemu wyraża, bo po Osińskim i Morawskim jego na trzecim miejscu jako „dobrego pisarza“ kładzie, a to z tego powodu, iż podobnie jak tamci „nigdy bredniami się nie zdradził“. Przyznaje mu „talent niepospolity“ i sądzi, iż „praca może go zrobić pożyteczniejszym krajowi, niż jest nawet Osiński“, chociaż, „nigdy go z nim nie zrówna w gienjuszu, poprawności stylu, pomysłach czystych i wyobraźni prawdziwie męskiej“. To bardzo wymowne i w każdym razie w ustach młodego Koźmiana dla Brodzińskiego charakterystyczne uznanie zwiększa się z każdą niemal chwilą. Minęły zaledwie dwa miesiące od czasu, kiedy to napisał, a tenże sam Koźmian donosi Morawskiemu, że „Brodzińskiego coraz bardziej poważa“, bo wprowadzie „mało on mówi, ale z tego, co powie, można się czegoś nauczyć. I tego to człowieka, dodaje on zgorszony, nazywano romantykiem i mieszano z Witwickimi!“

Ta równocześnie o jednym i tym samym człowieku objawiająca się zgodność zdań w dwóch przeciwnych, wówczas najbardziej namiętną walkę prowadzących obozach, potrzebuje szerszego komentarza. Powiemy otwarcie: jest to zagadka, osłabiająca w wysokim stopniu wiarę w silne i wyrobione przekonania literackie Brodzińskiego; oburzenie młodego Koźmiana, zestawione ze zdaniem Odyńca, który Brodzińskiego do potężnych sprzymierzeńców swoich zaliczał, wydaje się nam dziś bezwiedną na nie, przeczącą odpowiedzią, a przecież o szczerości Koźmiana ani Odyńca nie mamy najmniejszego powodu wątpić. Brodziński więc może wówczas wahał się, podobnie jak według zapatrywania Morawskiego Osiński po wyjściu pierwszego tomu pism Mickiewicza, między klasycznością a romantycznością, schlebiał i romantykowi i klasykowi, a ci po prostu wydzielali go sobie nawzajem, jakby im bardzo wiele o to chodziło, ku której stronie się przechyli, na czyją korzyść rozstrzygnie? Takby się w istocie zdawać mogło, ale tak nie było.

Ani Osiński i Koźmian, ani Morawski, ani Dmochowski i Grzymała, ani Odyniec i Mochnacki i cała rzesza romantycznych krytyków, pomimo tego, że spierali się, kłócili, walczyli namiętnie, nie mogli nigdy nie już przewyższyć, ale dorównać Brodzińskiemu w wytrwałości sądu i zdania. Nie zbyt zapewne byliby się zbudowali zwolennicy klasycyzmu na wykładach Brodzińskiego, gdyby byli na nie uczęszczali pilnie.

Nie idzie jednak wcale za tym, aby romantyzm nie popełniał rażących błędów. Jeżeli bowiem klasycy „uporczywsi zawsze zwykli stać przy dawnym, dlatego że jest dawne“, to ro-

mantycy „ślepo chwytają się nowości, dlatego tylko, że jest nowością, że w narodzie naszym dawniejszy smak był tylko naśladowaniem Rzymu i Francuzów, i że nowy jest po większej części równie tylko naśladowaniem obcych Anglików i Niemców“. A on „we względzie literatury tego był zawsze zdania, jakiego się niegdyś trzymali obywatele polscy za dawnych elekcji, że zamiast francuza i niemca lepszy zawsze Piast“. Tą elekcją jednak, tym wolnym wyborem kierowała zasada słuszna: „Kiedy zmiana smaku, mówił on, w narodzie wypływa z wewnętrznych usposobień narodu, kiedy się sama przez się naturalnie rozwija, wtenczas taka zmiana jest najczęściej zbawienną“. Takiego sądu, takiego zapatrywania przed Brodzińskim w Polsce wówczas nie wypowiedział nikt, a i po nim długi czas czekać potrzeba było na to, nim się ono zupełnie przyjęło i stało tak, jak w czasach dzisiejszych, ogólnie uznanym pewnikiem.

To ściśle historyczne stanowisko Brodzińskiego stanowiło podstawę jego sądu; przywykły z stanowiska tego badać dzieje rozwoju umysłowego narodu, względny być musiał i wyrozumiałym na wszystko, co dokoła siebie spostrzegał, pragnął bowiem zrozumieć przede wszystkim i wytłumaczyć, dlaczego wszystko tak a nie inaczej się działo.

Dla człowieka tak głęboko myślącego, jak Brodziński, nie ma może większego i boleśniejszego zawodu nad ten, jak gdy widzi i czuje, że idea, która wchodzi w życie dlatego, iż z ducha narodowego i jego potrzeb wypływa, bywa paczoną i po prostu przedrzeźnianą przez ludzi, którzy do jej pojęcia nie dorosli, którzy jej nie zrozumieli, a mimo to w namiętnym zapale głoszą się jej wielbicielami i wykonawcami. Miał romantyzm takich kramarzy swoich, którzy nie za zyskiem wprowadzić gonili, ale za popularnością i sławą, którą, jak im się zdawało, było można tak łatwo w danych warunków osiągnąć.

... Nie zajmował się Mickiewicz wiele temi naśladowcami swemi, ale jak ostro ganił najzdolniejszych nawet, tego częste mamy przykłady. „Odyniec balladuje bez końca“ pisał on w roku 1822 ironicznie do Malewskiego, a w r. 1826 sam Odyńcowi daje wymowną przestrożę: „teraz szukamy zawsze jak pijacy najmocniejszych trunków, Byron, Szyller rozpoili nas“.

... Mickiewicz pisze prawie dosłownie zupełnie to samo o swoich naśladowcach, co Brodziński i Morawski napisali, on czuł sam nawet w najbliższym otoczeniu swoim „rozpojenie“ i wiedział, że to „nie romantyzm“.

Oprócz poetów występowali i krytycy romantyczni, którzy popisywali się znowu z uwagami głębokimi o istocie poezji, o powołaniu krytyki i o tym wreszcie, o ile ze stanowiska zimnego rozsądku krytyka płodów poetycznych jest możliwą. Ci

dziwnej często trzymali się taktyki; niezaczepiani zaczepiali sami, wywoływali żarty, odpowiedzi i sarkazmy, drażnili i wyzywali, chociaż im nikt nie dokuczał, nikt przeciw nim nie powstawał. Artykuły te wchodziły już wprost w zakres Brodzińskiego, jako historyka literatury i profesora warszawskiego uniwersytetu.

Wyśmiewa więc w artykule „Recenzenci i estetycy“ rozmaite teorie krytyków romantycznych, a potraciwszy o sonety Mickiewicza, zarzuca im, iż „więcej w nich wyobrażeń jak rymów, więcej uczuć jak słów“, słowem, że za wiele w nich owego oderwania się od otaczającej rzeczywistości, „z krańców widomego zakresu“, za wiele zapomnienia „o istnym pokoleniu, jego języku i zwyczajach“, za wiele przenikliwego wzroku dla tajemnic, językiem ludzkim niełatwo dających się określić. Mickiewicz „spojrzał przez światła szczeliny“, i „tam widział“, a na wyrażenie tego, co widział, „w żyjących języku głosu“ nie znalazł.

Tylko rozdrażnieniem, w które wprawiło Brodzińskiego postępowanie naśladowców Mickiewicza i krytyków romantycznych z „Gazety Polskiej“, tłumaczyć sobie można to jego odezwanie się. Jeżeli bowiem Brodziński nie wahał się raz, mówiąc o sonetach, przytoczyć sonetu końcowego, w którym jest mowa „o nieśmiertelnych pieśniach, z których wieki uplotą ozdobę skroni“ Mickiewicza, to ten sam Brodziński nie mógł innym razem na podstawie wyjątku z tych samych sonetów Mickiewicza osądzić go niekorzystnie. Ale Brodziński rozumiał Mickiewicza dobrze i lepiej, niż wówczas ktokolwiek w Warszawie, i nie o niego mu tutaj chodziło, ale o tych właśnie, którzy patrząc „w niezmierność głębin“ zawrotu głowy w istocie dostali, a nie mieli nawet siły na to, iżby „łódź z sobą przechylić w otchłanie chaosu“. Jeżeli zaś w rozdrażnieniu Brodziński kiedykolwiek ze zdaniem temu podobnym odezwał się przed zwolennikami klasyczności, to nie dziw, iż go nie zrozumieli i oburzali się, iż go śmiano „z romantykami mieszać“.

Zresztą w tym powiedzeniu Koźmiana było wiele istotnej prawdy, tylko nie w tym znaczeniu, jakie do niego Koźmian przywiązywał. Jeżeli Brodzińskiego z romantyzmem ówczesnym nie nierozzerwalne łączyły węzły, to nic łącząca go z klasykami była wąta i słaba. On miał swoje w literaturze pojęcia i swój własny ideał. „Jużemy dziś wiele na tym zyskali, pisał on, żeśmy porzucili niedawno panujące, poziome wyobrażenie o sztuce, możemy dziś więcej błędzić, ale pewniej trafimy do celu. Idzie tylko o to, żeby nie zapominać przeszłości dlatego tylko, że naszym formom nie odpowiada, aby się nie przerzucać na tę lub ową stronę, ale aby narodową literaturę wewnętr-

nie, samodzielnie udoskonalać“. A żeby literatura nasza prawdziwie zakwitnąć mogła, wyrzec się potrzeba tego rozdwojenia; wyrzec się na zawsze poniżającego wyrazu, że jestem za szkołą niemiecką, albo za szkołą francuską... postępując bacznie za popędem wieku najwłaściwszą dla nas jest drogą, abyśmy za wzorem poezji Anglików i Niemców smak własny, narodowy doskonalili i, przestając być naśladowcami, starali się, żeby nas naśladowano“. Rozpatrywanie się tedy i bliższe zajęcie się poezją angielską i niemiecką było, według zdania Brodzińskiego, dla nas korzystne, naśladować ich jednak powinniśmy tylko w tym, aby za ich przykładem na własnych rodzimych pierwiastkach opierać dalszy rozwój literatury naszej. Oto cel, który wytknąć powinna sobie krytyka nasza.

Teraz łatwo już zrozumiemy owe zgodne dwóch przeciwnych obozów sądy o Brodzińskim, któreśmy zestawili. Brodziński ze swego stanowiska nie schodził, sympatji swoich dla romantyków się nie zapierał, ale anarchja i bezrząd, które się do obozu romantycznego wkradły, oburzały go i gniewały, bał się, aby rzecz cała krzywą nie poszła drogą, by nie zeszła na bezdroża i manowce, bał się, by „sprawa najświętsza“ w ręku wykonawców nie zepsuła się i nie skarłała, więc na stanowisku swym się oszańcował i tym silniej go bronił, im bardziej sądził, iż jest zagrożone. Przypominał on na każdym kroku, że mu o narodową poezję, o narodowy romantyzm chodziło, nie zepsuty ślepym a tym mniej bezmyślnym naśladownictwem. A jeżeli artykułem tym polemicznym, pomimo wstępu, jaki miał do walk literackich, w szeregu walczących stanął, to miał odwagę stanąć sam, bez sojuszników, bo do żadnego z walczących obozów się nie przyłączał¹⁾.

O wiele silniejszym, niż przytoczone tutaj przez nas wyjątki z pism Brodzińskiego, dowodem prawdziwości naszego

¹⁾ Z tych powodów nie możemy się zgodzić z zapatrywaniem p. H. Biegeleisena, który w rozprawie swojej p. t. „Atak Mickiewicza na obóz klasyków“ (Dodatek miesięczny do „Przeglądu Tygodniowego“, półrocznik I, Warszawa, 1885, str. 437) takie o Brodzińskim wypowiada zdanie: „Pośrednie stanowisko Dmochowskiego, zdradzające wiele miernoty i fałszywego poglądu na istotne znamiona wybujałego romantyzmu, jako też wymuszkanej klasyczności, oburzało zwłaszcza egzaltowanych romantyków, niecierpiących z natury rzeczy wszelkiego umiarkowania i popychało Dmochowskiego, podobnie jak Brodzińskiego, który także chwiał się i lawirował między Scyllą klasycyzmu a Charybdą romantyczności do przeciwnego obozu klasyków, wiodącego rej w literaturze“. Brodziński między Scyllą klasycyzmu a Charybdą romantyczności ani się chwiał ani lawirował, pozory łudzą, ale nie przekonują nigdy, a świadectwa współczesnych w takiej chwili, jak owa walka klasyków z romantykami, wymagają zawsze najściślejszej krytyki.

twierdzenia, jest rozprawa Brodzińskiego „O krytyce“. Rozprawę tę uważać można do pewnego stopnia za odpowiedź, daną Mickiewiczowi na jego „Przedmowę o krytykach i recenzentach warszawskich“.

Wiadomo, ile „Przedmowa“ ta narobiła hałasu i kwasów. Sami zwolennicy romantyzmu przyjęli ją nie bez pewnych zastrzeżeń. Lelewel, jeden z najprzychylniejszych Mickiewiczowi, szczerzy romantyzmu przyjaciel, był jej „nie bardzo rad“¹⁾, „Gazeta Polska“ broniła go „rozsądnie, jak sam przyznawał, lubo trochę za długo“, przedrukowała nawet całą „Przedmowę“, ale opatrzyła ją uwagą, dla Mickiewicza nieprzychylną.

Mickiewicz uważał przecież w pierwszej chwili „Przedmowę“ za „zagajenie wielkiej walki“, a ponieważ w oczach jego klasyczni „retorowie zuchwali i ciemni litości nie byli warci“, więc pomimo iż „cierpiał nad tym“, że nie mógł zadowolnić Lelewela i „do śmiechu go pobudzić“, zamyślał im „nieraz jeszcze dokuczyć“. Przygotowywał więc „gorszą jeszcze filipikę“, gdyż „znudziła go klasyczna hołota“ i chciał „pokazać, że się ich wszystkich razem nie boi“. Słów tych dosłownie brać nie można, bo padały one z ust Mickiewicza w chwili rozdrażnienia; by taką walkę prowadzić, był on za wielki, znudziłaby go była ona prędzej jeszcze, niż całą „klasyczną hołota“. Widooczne to z jego ówczesnych listów.

Brodziński w swojej rozprawie „O krytyce“ za krytyką klasyczną ujmować się także wcale nie myślał, wytknął jednak Mickiewiczowi kilka sądów zbyt dorywczych i ostrych, na które i my dziś niezupełnie byśmy się zgodzić mogli.

Wobec braku wszelkiego ostrzejszego tonu w wygłoszeniu tych zapatrywań i zupełnego wstrzymania się od przytoczenia zdań przeciwnych, uważać je można za rodzaj łagodnego sprostowania sądów Mickiewicza, a z dalszych ustępów tej rozprawy Brodzińskiego przekonać się nie trudno, jak on Mickiewicza cenił, jak go gniewało to, iż romantyczni krytycy nim się zasłaniają i na niego powołują, jak on ich obok niego widzieć nie chciał, jak ani na chwilę nawet nie przyszło mu na myśl Mickiewicza z nimi porównywać, lub robić go odpowiedzialnym za ich pomysły.

I to wszystko pisał Brodziński wówczas, gdy przeciwnicy Mickiewicza przeciw Mickiewiczowi na niego się ciągle powoływali, gdy wszyscy bez wyjątku prawie nazwisko Brodzińskiego w artykułach swoich wysunęli na same czoło, a zasłaniaли się nim, jak tarczą, przeciw śmiałemu atakowi Mickiewicza.

w artykule „O krytykach i recenzentach warszawskich“, w którym nikt nie został pominięty, w którym według własnego Mickiewicza wyrażenia „złamał on kopje ze wszystkimi prawie literatami przychylnymi i nieprzychylnymi“, jednego tylko nazwiska Brodzińskiego, nazwiska tak wybitnego i głośnego, nie było. Więc Dmochowski, Sierociński, nawet umiarkowany Morawski, wszyscy zwracają się ku Mickiewiczowi i pytają go, dlaczego o Brodzińskim nie wspomniał?

Czy Mickiewicz w istocie o Brodzińskim zapomniał, czy wspominać go nie chciał? Zapomnieć nie mógł, nie wspominać miał pewne powody.

Charakterystyczny to objaw w stosunku Mickiewicza do Brodzińskiego, że obaj oni zajmują względem siebie jakieś stanowisko wyczekujące. Mickiewicz zdaje się oczekiwać chwili, kiedy Brodziński do jego przekonań się przyzna i sąd swój ogłosi; Brodziński, jak się później z jego własnych słów przekonamy, niczego więcej pewnie nie pragnął, ale czekał, aż gienjusz tak potężnym zajaśnieje światłem, aby mu hołd swój publicznie mógł złożyć. Brodziński cenił Mickiewicza umiał, Mickiewicz nawzajem zbyt go szacował i poważał, aby go mieszał do sporu i do polemiki, w której dla niego w istocie nie było miejsca. Zresztą miał Mickiewicz wówczas swoje odrębne o Brodzińskim zdanie, które w notatce skreślonej w języku francuskim w roku 1829 objawił. „Casimir Brodziński—oto są jego słowa—professeur de littérature à l'Université, poète et chef de l'Ecole romantique en Pologne. Savant littéraire. Il a le premier fait connaître les poésies de Goethe et de Schiller et il a composé lui-même plusieurs ballades et chansons d'un grand mérite. Traducteur des poésies populaires des Serbes et des Morlaques. Dans ses derniers ouvrages il semble avoir déserté l'école allemande et anglaise. Persuadé, que les chansons populaires slaves, après celles des anciens grecs, sont les plus poétiques, il tâche de former une école poétique slave par excellence“.

Chef de l'école romantique en Pologne! prawda niezaprzeczona—tylko, że Brodziński pojęcia polskiej romantyczności nie łączył nigdy z pojęciem szkoły angielskiej, ani niemieckiej, i stąd twierdzenie, iż Brodziński szkołę niemiecką i angielską porzucił. A co się tyczy stworzenia owej szkoły poetycznej słowiańskiej, do czego Brodziński miał według zdania Mickiewicza dążyć, to zdanie to nazwalibyśmy niezupełnym i niedokończonym. Pisząc to miał Mickiewicz widocznie na myśli tylko przedmowę Brodzińskiego do tłumaczenia pieśni słowiańskiej, t. j. wspomniany już przez nas „List do Redaktora Dziennika Warszawskiego“. Gdyby Mickiewicz mógł być znać

¹⁾ Korespondencja, III, str. 295.

wykłady Brodzińskiego w uniwersytecie, byłby z pewnością przyszedł do przekonania, że szkoła, do której Brodziński dążył, była tak szczerze i prawdziwie i tak tylko i wyłącznie polską, jak ta, do której przyznawali się romantycy; jeżeli jednak oni oparcia dla swojej szkoły szukali w szkole niemieckiej i angielskiej, to on swoją oprzeć chciał na gruncie słowiańskim o tyle, o ile na nim oparcie znaleźć mogła, t. j. o tyle, o ile charakter nasz narodowy zbliżał nas więcej ku słowiańszczyźnie, niż ku Anglikom i Niemcom. Że tutaj Brodziński wpływów zachodnio-europejskiej cywilizacji, z którą nas cała przeszłość najściślej węgłami łączyła, nie lekceważył, i że je dokładnie i ściśle obliczał, że z cywilizacją tą wcale zrywać ani myślał, ani radził, na to na każdym kroku w pismach jego znajdujemy dowody; wszak do tej przeszłości naszej, do tej cywilizacji i do źródła, z którego ona wypłynęła, równie jak do ówczesnych na zachodzie panujących prądów literackich odwoływał się zawsze i wszędzie.

.... Powstanie listopadowe położyło kres wszelkim literackim zapasom. Nad wszystkie spory o kierunek lub rodzaj poezji stanęła wielka idea narodowej niezależności, artykuły o powołaniu poezji ustąpiły w czasopismach miejsca biuletynom z pola walki, młodzi poeci porzucili skargi i westchnienia miłosne, a nastroili lutnie swoje na tony rycerskie, męskie. Lud entuzjazmował się pieśnią, była ona na ustach wszystkich. Zjawiała się wśród odgłosu wojennego i stawała własnością ogólną, budziła zapał, podbijała serce, nikt nie pytał, kto jej ojcem, skąd ona pochodzi, każdy wiedział, że zrodziła ją sprawa wolności, duch, którym wszyscy byli przejęci, któremu hołdowali wszyscy. A gdy bój się zakończył i w rezultacie przyniósł klęskę i niewolę, to pieśń ta zmieniła się znowu w wielki tren narodowy, w pieśń bólu i cierpienia, a czasem pieśń zemsty. Jednej tylko nie było w niej nuty — nuty zwątpienia i rezygnacji.

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

O klasyczności i romantyczności tudzież uwagi nad duchem poezji polskiej (1818).

(Wyjątki.)

„Zdaje się teraz dla poezji polskiej nadchodzić pora, w której zaczynającemu wahać się potrzeba nad obraniem drogi do przybytku pamięci, to jest: czyli tak zwaną klasyczność, czyli tak zwaną romantyczność ma obrać. Dotąd tylko drogę znały do Apollina świątyni; teraz sądzimy, żeśmy dwie wcale przeciwne odkryli. Pierwsza jest wymierzony, dobrze ubity, porządnie i regularnie drzewami zasadzony gościńiec, która to regularność zdaje się już niektórych nudzić, szczególnie przez to, że z tego gościńca zbaczać nie wolno. Druga jest kręta ścieżka, albo raczej podróż, wśród której, jak się komu bliżej zdaje, wolno zbaczać, albo też nasycać się widokami natury, i swobodnie płoty przeskakiwać. Doświadczeni, wezwyczajeni, wolą pierwszą; młodzież naturalnie ma pociąg do drugiej. Pierwsi mniej i swobody i uderzających widoków mają w swojej podróży, ale są za to pewniejsi; drudzy przechodzą często miejsca niebezpieczne i łatwo obłąkać się mogą, ale swoboda i wdzięki natury żywiej im się uśmiechają. Ci nie wierzą doświadczeniu starszych, owi nie chcą być wyrozumiałymi dla popędu młodości. U jednych wzory, u drugich natchnienie pierwsze ma miejsce. Ci naturę nad sztukę, owi sztukę nad naturę przenoszą; a nie wszyscy są baczni na to, że najpiękniejszą meta sztuki jest zbliżyć się do natury; jako też przeciwnie, że natura w poezji tylko przez sztukę pięknoscią się zdobi.

Przyczyną tego rozbratu jest zapewne dość mylne wyobrażenie, jakie się teraz rozszerzyło o klasyczności i romantyczności.

W uwagach niniejszych jest moim zamiarem, przebiegszy po krótko ducha greckiej, rzymskiej, a za niemi francuskiej poezji, jako trzech oddziałów tak zwanego gustu klasyczności, zastanowić się nad duchem romantyczności, to jest: jaką poezję i dlaczego uważamy teraz za romantyczną? co cechuje różne jej rodzaje? dlaczego w tym wieku tak się jej gust rozszerza? Skąd wypłyną nad duchem poezji polskiej uwagi, w których będę usiłował okazać: dlaczego postąpiliśmy w guście kla-

syczności? co w niej cechuje oryginalność narodowi właściwą? i co dla nas jest romantycznym?"...

Następnie Brodziński charakteryzuje poezję starożytną i francuską. O poezji klasycznej mówi, że „czuć... piękności Greków więcej jesteśmy w stanie, niżeli je naśladować“, o poezji francuskiej wypowiada między innymi następujące uwagi:

„Jeżeli żartobliwym, dowcipnym, polerownością znakomitym dziełom francuskim duch ani język żadnego może nie wyrówna narodu, jakże nisko zostaną tam, gdzie czucie żywo dosięgać powinno, gdzie imaginacja, tworząc obrazy i igrając z pięknnością i filozofją, tworzy zarazem i igra z wyrazami wolnego języka? Jakże zimni, jak wymuszeni, mimo oczywistej staranności, zostaną tam, gdzie ujmująca, rzeczona prostota prosto trafia do serca? Jak język ten obfity w grzeczności i dowcipyne zwroty, słabym i niewolniczym jest do lirycznych, zachwycenie tłómaczących obrazów? Na którekolwiek pole tych dwóch najistotniejszych oddziałów poezji zwrócić się usiłuje, tak jest dalekim od szczerzej prostoty, tak niskim od wolnych uniesień imaginacji, jak daleko jest ubogim w wyrażeniu słów zmniejszających i powiększających. Francuzi roztargnieni w przyjemności, lekkości towarzystwa, w posiedzeniach swoich dalecy od prostoty, równie jak od głębokiego badania i wyrażania wewnętrznych uczuć, mniej są baczniemi na wdzięki natury; trudno im rozegrać się na jej łonie; żywi i mili w salonach swoich, ziębnąć się zdają, gdy przyjdzie na otwartym polu pojmować czuciem głos i widok natury. W salonowych posiedzeniach, w których, jak powiedziano, berło otrzymała płeć piękna, od jej sądu zależy poezja, a w miarę chęci podobania się tejże płci, obok lekkości, przyjemności i dowcipu, brak w pieniach męskiej siły, głębokości i poetycznego zapału, zamiast serdecznych wyrazów więcej wyszukanego pochlebstwa, nie miłość, ale próżność podsycającego..."

Poezja francuska jest to foremnie strzyżony ogród francuski, w którym żadne drzewko wywyższyć się ani rozszerzyć nie może; którego piękność jedynie na regularności zasadzoną, jednym rzutem oka zaspokoić można. Krzewy jego nie będą się coraz przyjemniej rozgałęziać i umajac liśćmi, ale, dopóki regularnie zimnemi nożycami podstrzygane będą, coraz suchszymi sterczeć muszą gałęzmi..."

Następnie Brodziński przechodzi do romantyzmu wogóle, specjalnie dłużej zastanawiając się nad poezją niemiecką. Źródła fantastyczności, mistycyzmu i filozoficzności romantyki niemieckiej widzi w duchu narodu niemieckiego. Ponieważ pierwsi te również przenoszono i do poezji romantycznej polskiej, zastanawia się więc Brodziński, czy są one właściwe nam, i do-

chodzi do wniosków przeciwnych. Tutaj dochodzimy do najważniejszej części rozprawy, do zagadnienia, jaki charakter winna nosić literatura polska? Przedtym jednak Brodziński wypowiada pogląd na to, „co jest uczucie romantyczne, bez względu na to, skąd ten wyraz pochodzi?"

„Wszystko, co z przeszłości niewinność, swobodę, zapał złotych, patryjarchalnych, rycerskich wieków przypomina, gdzie zapał, nie rachuba w czynach, prostota, nie sztuka w piękności się maluje, sprawia na nas romantyczne wrażenie, którego cechą jest miły smutek jak mgła, towarzysza jesieni, bo tylko uczucia wspomnień i tęsknoty obudzać może. Piękności romantyczne są wyłączenie dla serc tkliwych i dla umysłu, naturę i ducha wieków badającego. Kto, nie śledząc ducha narodu, jego religii i nie chcący się postawić na jego ziemi, będzie chciał sądzić o jego poezji, według gustu z wychowania przyjętego, według sztuki poezji klasycznej, nie znajdzie nigdy klucza do jej tajemnic, wszystkie piękności będą mu obce, prostota płaskością, obrazy dzikie, porównania niesforne i myśli niezrozumiałe. W czym sercu obraz natury i prostoty nie obudza rozrzewnienia, tęsknot i wspomnień, miłości wszystkiego, kto nie chce się postawić w sercu człowieka każdego wieku i stanu, aby z nim dzielił niewinność, tęsknoty, smutek, wesele, dla tego obcą jest romantyczność, wszystko zwać będzie albo dziecinnym, albo gustem zepsutym. Do klasyczności potrzeba mieć więcej udoskonalony gust, do romantyczności więcej udoskonalone uczucie. Pierwszy nabywamy wychowaniem, drugie zaszczipione jest w sercu każdego..."

Pieśni ludu były początkiem poezji. Czucie, przesady, zabobony, podania historyczne w nich się zawarły, z nich zastanowienie, rozsądek i dobry smak utworzyły sztukę. Po udoskonaleniu sztuki poznajemy oświecenie narodu, z pieśni ludu sądzimy o jego obyczajach i namiętnościach. Tu lud w prostocie i szczeroci spowiada się ze wszelkich swoich skłonności. Pieśni jego noszą cechę wesołości lub smutku, swobody lub niewoli; pokolenia podają sobie pamięć gniebicieli swoich lub ojców ludu, wystawiają obrządki weselne lub pogrzebowe, przesady i zabobony, powieść o duchach, czarodziejstwach, przyjemne lub przerażające pieśni wojenne lub rolnicze, przysłowia i podobieństwa, i w tym malują dowcip, imaginację, stan, w jakim się znajdują, i panujący charakter. Jeżeli jest powinnością poety w oświeconym wieku szanować gust powszechny, jeżeli pamiętać będzie, że przepisy sztuki nie są wymysłem, ale że je rozsądek z natury wyczerpał, że te równie przeto, jak natura, każdemu za wskazówkę służyć powinny; świętszym nierównie jest jego obowiązkiem czerpać z pieśni ludu, jako z natury,

charakter i obyczaje narodu.—Pieśni ludu mają, przez swoją prostotę i sposób malowania uczuć, podobieństwo niejake w wszystkich narodach, tak jak rozsądne przepisy wszędzie służyć powinny, ale większy lub mniejszy postęp w smaku dowodzi tylko stopień oświecenia, czerpanie zaś poezji z pieśni i obyczajów ludu nadaje jej piętno oryginalności i pewnego charakteru. Zniknęły podania ludu greckiego o bogach i wojnie trojańskiej, ale Homer z nich wybudował kolos ich pamięci. Z takich źródeł czerpał zapewne Tasso, tych używał gienjusz Szekspira w dramatach swoich, i niezawodną jest rzeczą, że pieśni ludu są źródłem najpiękniejszej poezji, i że sztuka, robiąca z nich całość, uwiecznia zarazem i charakter narodu i jego oświecenie. Zbieraniem takowych pieśni ileż zrobili przysługi Percy i Makpherson, Herder i inni? Na pieśniach ludu ugruntowała się poezja Greków, Anglików, do nich wrócili Niemcy...

Włoscy poeci, prócz starożytności u nich odgrzebanej, cechują się romantycznością średnich wieków z nią połączoną, bo pozostały im pieśni trubadurów tak bliskie ich językowi, gdy Polacy nic podobnego nie dziedziczą. Nie mieliśmy także romantycznej czyli rycerskiej poezji średniego wieku, jak szczególniegię rmańskie narody, łącznie bowiem już Polacy zajmowali się ogólnym dobrem w tych wiekach, w których u innych europejskich ludów tyle pozostało podań dla romantyczności z czasów lenniczych. Nie mieliśmy rycerzów błakających się, bo wspólnymi tylko siłami prowadzono wojny przeciw nieprzyjaciółom ojczyzny. W narodzie, gdzie nie tylko siłą na nieprzyjaciela nacierać, ale i w obradach przekonywać potrzeba było, mniej zapewne fantazji i popędu do nadzwyczajnych przygód widzieć się daje, i namiętności łagodniejsze być muszą; umysł obywatela, zajęty powszechnymi sprawami, mierzący się zawsze z innymi w wyobrażeniu i sądzie o rzeczach wspólnie wszystkich dotyczących, żyje zawsze w duchu towarzystwa, zewnętrzne przedmioty więcej na niego działają, zatym jego poezja musi być umiarkowana, więcej rozumiejąca, niżeli fantazyjna. Nie mówią także dzieje nasze o płci pięknej, aby się dla niej różnili rycerze, burzyli zamki itp. Nie wyznaczały Polki zawodów współubiegającym się o ich rękę, i może najzaszczytniejszym w dziejach narodowych jest dla nich to, że o nich nie wiele mówią. Nie próżność, jaką rycerskie wieki podsycaly, ale spokojne przywiązanie i bogobojność rządziły niemi. Sławą i zatrudnieniem ich była wiara dla mężów i wychowanie synów, o których tyle mówią dzieje. Nie rozlegały się po obozach Polaków nazwiska dam oręża, lecz jedynym hasłem był kraj rodzinny. Ojczyzną nie były ludne miasta, ale tym imieniem na-

zywały się ziemie, gdzie po rozległych włościach gospodarne obywatelki oczekiwały z nad granic rycerzy, aby osiadali na miejscu, gdzie pradziadowie zostawili zapracowane puścizny, gdzie groby tychże przypominały błogosławieństwo niebios na nich zlewane, gdzie zaszczyt zasług przodka potomkom w dziedzictwie zostawiony zobowiązywał do cnót i utrzymania sławy zasłużonej krajowi rodziny. Powolna córka oczekiwała wyboru rodziców, przez który sąsiedzkie domy w późnych pokoleniach dochowywały pamięć swojej przyjaźni.

Chrześcijaństwo, przez małżeńskie związki w kraju naszym upowszechnione i przez nie na dalsze słowiańskie ludy rozkrzewione, w pokoju roznieciło oświatę i nadal nie przez miecz, nie przez zapal rycerski się utwierdzało. Nie należeli Polacy do krucjaty, tak znakomitej epoki w chrześcijaństwie, ale jeżeli nie cisnęli się na zdobycie Ziemi świętej, bronili chrześcijaństwo od napływów barbarzyńskich, i do najpóźniejszego czasu za sprawę jego walczyli w Europie. Walki te nie tak świetne przez dzieje Europy, jak krucjata; z obroną własnej ziemi związane, okropne skutki wojny na zagrody niosące, opóźniające postęp cywilizacji, a stawiające przed Europą puklerz, za którym spokojnie chrześcijańskie ludy mogły rozszerzać oświatę, wyprawa Sobieskiego pod Wiedeń na obronę wiary i sąsiedzkiego państwa, godna wieków rycerskich w swem przedsięwzięciu i skutkach. bogobojna uległość najwyższej władzy kościoła przy tak rzadkiej w Europie tolerancji, za Kazimierza Wielkiego i za Zygmunatów; zaszczyt obok dziejów oświeconych narodów w Europie, iż w sprawie religijnej nigdy Polacy krwią ziemi nie zbroczyli, szczególnie zaś zapal, wolności z najświętszą czią religji połączony, umieścić powinny Polaków w oddzielnym, lecz niemniej znakomitym rządzie chrześcijańskich rzeczy.

W takiej różnicy rycerstwa naszego i chrześcijaństwa, pod względami poetycznymi uważanej, widzimy przytym prócz starożytnych klasyków, znakomity wpływ pisma świętego na literaturę złotych zygmuntofskich wieków. Tylokrotne wydania u nas Biblii, tyloliczne tłómaczenia psalmów Dawida, prostota znakomitszych dziejopisów, ujmujący Skarga w mowach do wolnego ludu, tak szlachetną prostotą i duchem pisma Bożego tchnący, są tego widocznymi świadkami.

Rozwinięcie pięknych zarodków, które tkwiły w przodkach naszych, których pierwiastkowe owoce niezliczone otrząsały burze, zależy jeszcze od pełnej otuchy dla nas przyszłości, której rękojmiej założyła siłą wszystkich grzmotów nieugięta stałość w miłości; a świetna pamięć przeszłości na ołtarzu Muz hodowaną być powinna.

Miłość swobody przy poświęceniu się dla dobra kraju tak znamięnita u przodków naszych, równająca ich do starożytnych Greków i Rzymian, religijność i prostota z niemi połączona, przypominająca obraz patryjarchalnych czasów, wystawia nam najpiękniejszy ideał towarzystwa ludzkiego, do którego po tylu ofiarach i obłąkaniach nakonieć przyjsć musi. Chociażby i szczególne czyny przeciwko tym odwiecznym zasadom przodków naszych mówiły, poświadczają je niezbitcie, prócz dziejów, same hasła od nich ulubione: Wiara, król z narodem, naród z królem; poświadcza je zwyczaj ojców nazywania króla ojcem, siebie bracią, kraj rodzinny matką, a Maryą w niebie Polski królową. Jakże godnego, umiarkowanego i wdzięcznego narodu widzimy obraz w tej czci wolnego ludu dla obieranych i prawami ograniczonych królów, z jaką się pokolenie Piastów i Jagiełłów przez wieki aż do wygaśnięcia potomków na tronie utrzymywało, mimo że pierwszy prostym rolnikiem i kołodziejem, drugi był tylko księżciem pobratymczego ludu! mimo że przez ciąg tych wieków w około z wszechwładnością utwierdzonych tronów spadli monarchowie. Jakże przytym miłą patryjarchalną prostotę oznacza wybór rolnika na tron dlatego, że domowi jego Bóg błogosławił, że z oszczędności swojej mógł przechodniom gościnnie służyć.

Rycerstwo uprawie roli w pokoju oddane, ani ślepo rachubie jednego wodza podległe, ani dowolnie błakające się i szukające przygód, ale wspólnie z rozległych siedzib przeciw powszechnemu nieprzyjacielowi kupiące się, oddzielnym jest także rycerstwem, piękne poezji pole otwierającym, i trzyma pewien środek między patryjarchalnością a rycerstwem greckim i rzymskim. Jakże to godną postać w poezji mieć mogą owi radą i mieczem zasłużeni obywatele, którym naród wysokie dostojęństwa powierzał, i ich bogobojności, prostemu rozsądkowi i szlachetności losy swoje pufał, nadawał im liczne włości; zyskiwali błogie i nagradzające pierwszeństwo w usługach, krajowi, bądź gdy wystawiali wojska i jego potrzeby wspierali, bądź gdy uboższymi przezuaczali wioski w posiadanie, otwierali im drogę do usługi publicznej, i w domach swoich, gościnnie dla każdego otwartych, utrzymywali towarzyskość, przykładem i wsparciem liczną przysposabiali młodzież, wysyłając za granicę, wspierając talenta i rozszerzając własnym kosztem i pracą potrzebne nauki. Jakże piękną jest ta wdzięczność uboższej szlachty, która, mając głos w obradach publicznych, wysyłaną była od panów, w obronie ich spraw najważniejszych, przed króla i senat, która, bronionych panami swemi nazywając, nie traciła na powadze, wymową i znajomością prawa podziwienie i uszanowanie wzbudzając. Czy także nie stanowi

pięknej cechy narodu to poszanowanie dla obywateli szlacheckich, roztropnych i wymową ujmujących, co dawnym starożytnym zwyczajem między sąsiadami godzili rozterki, uprzedzali prawnictwo i własnymi majątkami, przyjacielskimi ucztami i wszelkim wpływem zapobiegali niezgodom, do których wszyscy z ufnością udawali się po rady, którym tyle ojców powierzało na łożu śmierci losy potomstwa. Jakże chlubniejszym dla narodu był zwyczaj ten (dotąd nawet się utrzymujący), niżeli owe rycerstwo, co siłą na niesprawiedliwość nacierać musiało, jakże on znamionuje łagodność charakteru, towarzyskość ludu, mocą przekonania dającego się wywieść z błędu, lub się poświęcić dla zgody i darować urazę. Nie sąż chlubą narodu królów, którzy ograniczeni prawami mieli tyle czci od ludu, tyle sposobności do dobrodziejstw i tyle powagi u sąsiedzkich monarchów, że im sprawy między sobą przekładali i na ich jednaniu przedstawiali, lub nieszczęśliwi udawali się pod ich opiekę i obronę, którym oni ze szlacheckim wojskiem tak chętnie szli w pomoc. Jakże miłym obrazem są te po różnych ziemiach i grodach zwoływane sejmy, na które tak jak do obozu zjeżdżali się obywatele z dalekich zagród, z tych, których miłość rolnictwa samotności oddała, miłość kraju i dobra Rzeczypospolitej stowarzyszała. Rolniczy naród, później niżeli handlujący przychodzi do oświecenia, ale najdłużej zachowuje czystość obyczajów, prostotę i miłość kraju. Handel i przemysł czyni obojętnym na ziemie rodzinną, staje się popędem do krążenia po świecie i podług zysku każde szukać i obierać mieszkanie, rolnictwo przywiązuje do ziemi, jako córki do rodzicielskiego domu. W rolniczym narodzie przywiązany do zagrody ojców swoich mieszkawiec, podający do pobożnych pokoleń przyjaźń i pomoc sąsiedzką, łączący się na pogranicznych włościach związkami krwi, zachowuje słodycz i uprzejmość w pożyciu, szczerłość i poświęcenie się przyjemnym związkom. Taki to charakter był naszych przodków, przywiązanie do ziemi i gościnność, którzy najczęściej miasta zostawiali dla przechodniów, im oddawali handel i ubieganie się za zyskami, sobie tylko radę dobra publicznego, uprawę ziemi i jej obronę zostawiając. W tym oni przywiązani do kraju nie byli chciwi na zdobycie, nie szukali zysków po morzach dalekich i obcych stolicach, naukowe tylko związki mieli z oświeconymi narody, uzbrojonych tylko cudzoziemców zapędzali za granicę i wracali do miłych zagród tylokrotnie wojnami zniszczonych, przyjmując gościnnie na łono swoje przybyszów z krzyżem, z księgami lub z przemysłem i kunsztem, przytułku lub zysku szukających.

Te i wiele innych własności narodu naszego, które dzieje wskazać mogą, patryjarchalności obok rycerstwa, czci dla tronu

obok swobody, religijności bez fanatyzmu, praktycznego rozsądku obok jednego tylko zapалу miłości do kraju, przypominające w pewnym względzie ziemie klasycyzmu i patryjarchalność, wertowanie nakoniec pism Greków i Rzymian obok Biblii i poezji chrześcijańskiej średniego wieku, nadają poezji polskiej czasów Kochanowskich piętno narodowości“...

Skończywszy z ogólną charakterystyką narodu polskiego, Brodziński na tym tle rozpatruje dzieje literatury polskiej i jej najznakomitszych przedstawicieli.

Zaznajomiwszy w ten sposób czytelnika z charakterem narodu polskiego i jego literatury, Brodziński przystępuje do podania ostatecznych wniosków uprzedniego rozumowania:

„Do starożytnych klasyków zbliżają nas zaiste, jak widzieliśmy, wzory naszych przodków, nasz język, nasza im równająca się miłość kraju; ale nasze rolnicze obywatelstwo, losy naszej krainy, religja chrześcijańska, ogólny wreszcie duch wieku i oświecenie, na każdy naród mniej lub więcej wpływu mający, nie pozwala nam być zupełnemi Greków i Rzymian naśladowcami. Wysoki stopień literatury francuskiej, który nad wszystkie europejskie narody na nas w ostatnich czasach najwięcej miał wpływu, pociąga nas wytworem gustu, łatwością, przyzwitością i powierzchownemi powabami; ale wolność i serdeczność języka naszego, charakter narodu, skromniejsze obyczaje ich lekkości i dowcipu nie podolają, a właściwą swoją chlubną cechę straciłby mogły. Ich surowe przepisy sztuki i gustu kładną prawdę tamę zdrożnościom, jakich się inne narody w zupełnym rozpasaniu z przepisów nabawiły; jednakowoż, jak prawa być powinny zapewnieniem swobody ludu, tak przepisy sztuki nie powinny ścieśniać dążeń gienjuszu, ale wskazywać mu zbawieną drogę; gdy częstokroć przepisy sztuki i gustu francuskiego są raczej tylko formalnością, której dopełnienie stanowi prawda nienagannego w poezji obywatela, ale za to tamuje mu drogę do rozwinięcia władz umysłowych, gdy nie tylko ścisłe praw dopełnianie, ale ich używanie odznacza prawdziwego obywatela. Jakiż rodzaj poezji z tych, które wyżej pod rodzaj romantyczności podciągnąłem, jest dla nas stosowny? Prostota biblijna nie wielu rodzajom poezji służyć może; styl orjentalny ani wiekowi, ani towarzyskości, ani też wyobrażeniom naszym już służyć nie zdoła. Poezje Osjańskie są raczej utworem samej imaginacji, nie noszą żadnego piętna pewnego charakteru; naśladowanie ich tyle jest niestosownem, ile niepodobnem. Średnie rycerskie wieki, ten główny punkt romantyczności, od którego wzięła nazwisko i odznaczenie się swoje w poezji, nie są dla nas, bo nasza polityczna towarzyskość już była zawiązana, kiedy się rycerze chrześcijańscy za osobnemi przygodami i wido-

kami błakali, gdzie obok cnót szczególnych rycerzów, widzimy gwałty towarzyskie, za któremi nasza imaginacja błakać się nie ma potrzeby. Chrześcijaństwo w średnich wiekach u nas łagodnemi środkami przyjęte i rozszerzone, nie nabawiło naszych przodków rozlewu krwi za opinie, a zatem nie zostawiło smutnego pola dla poezji, coby rozlew krwi z powodu zasad chrześcijańskiego braterstwa śpiewać mogła. Szczególniej zaś nie zaciemniło naszej imaginacji chrześcijaństwo tą posępnością, trwożnemi uczuciami i okropnością duchów, które przerażają imaginację ludów germańskich, a na męskość człowieka i pogodę wewnętrzną tak ważny wpływ mają. Włochy od niewieściej miękkości, do przebujałej imaginacji przechodzący, nie noszą odznaczającego piętna narodowości, dla Polaków tak świętej. Szekspir potrzebował zimnych i posępnych swych ziomków zwabić okropnościami, nadzwyczajnemi utworami imaginacji, wydobyl wszystko straszliwe z narodu, wszystko przerażające z religji, czego ani w dziejach naszych znajdziemy, ani też nasze łagodniejsze uczucia i weselsze pojmowanie ducha chrześcijaństwa nie zniosą i nie potrzebują. Przytym uważać należy, że tak my, jak inne słowiańskie ludy, cechujemy się między narodami północnemi swobodniejszą imaginacją, i oprócz miłej melancholji nie widzimy w niej przerażenia i okropności.

Jestże teraz idealność i mistyczność dla narodu naszego?“

Na pytanie to autor odpowiada przecząco.

„Co do ducha poezji naszej, widzimy w niej wszędzie panującą miłość kraju, zapal w uwielbieniu szlachetnych obywatelskich czynów, miarkowanie w uniesieniu, imaginację swobodną, nieprzerażającą, bez fantastycznych wyobrażeń, łagodną tkliwość, prostotę zbyt małej liczbie tegoczesnych obcych pisarzy właściwą, rolnicze obrazy wiejskości i rodzinnego pożyicia, moralność praktycznej filozofji, namiętności nieburzliwe i skromność obyczajów.

Tego ducha trzymać się jest może najzbawiennejszym pożytkiem dla dalszych owoców. W czasach naszych zyskaliśmy tyle w rozmaitych gałęziach poezji, że z opiekuńczym wiekiem nauk Stanisława Augusta możemy iść w porównanie; stratę tylko wyłącznego dowcipu Krasickiego nagrodzić sobie możemy znakomitym postępem utworów dramatycznych. Ujmę sobie, a krzywdę postępowi zrobimy, jeżeli się tylko o tyle cenić i o tyle doskonalić zechcemy, ile się do obcych możemy przyrównywać. Żaden naród nie doskonalił się tą drogą, a każdy ma swoich pisarzy, których umie oceniać, według narodowego ducha i gustu swojego. W języku i charakterze narodowym możemy zakładać wszystkie nadzieje.

Co do uczucia romantyczności, (jeżeli ją czytelnik w tym

duchu uważać zechce, jak ją wyżej rozwinąć się starałem) nie pozwolę sobie więcej żadnych uwag, byłoby to albowiem wykreślać władzę myślenia, nadawać przepisy uczuci. Wzór jej jest w naturze, z którego czytać nikt się od nikogo nie nauczy. Każdy jako człowiek pojmujący czuciem głos i widok natury, oraz tok dziejów człowieczeństwa, pojmuję ją; jako Polacy—chrześcijanie nie szukamy wrażenia romantycznego w religii, w tych okropnościach posępności, jak ją znalazły ludy germańskie; szanujemy w niej łagodniejsze towarzyskie uczucia, jakimi tchnął święty jej prawodawca, jakie z jej nauk wypływać powinny, i jak ją przodkowie nasi pojmowali. Jako ludzie kraj swój kochający, nie szukamy do wspomnienia na przodków wzorów w rycerskiej poezji średnich wieków, malujemy ich sposobem obywatelskich rycerzów, zajętych radą o jego dobro, żyjących z rolnictwa, nie warujących się po skałach jak orły, nie wypadających z gniazd swoich jak orły na zdobycze po blizkich równinach, nie za sławę dam swoich, ale za ziemię walczących. Teraz szczególnie żyjemy w wieku pełnym wspomnień. Cudowne losy naszej krainy są wielkim polem dla poezji. Romantycznością naszą są nasze niegdyś miasta, których obwody już czarna rola przykryła; smutne grody, w których nasi królowie przemieszkowali, a do których murów teraz wieśniacy strzechy swoje przytykają; stolica, gdzie teraz na oddzielonej ziemi śpi tyłu naszych rycerzy; mogiły przodków, które po niwach naszych wszędzie napotykamy.

O ile wzorów niemieckiej czyli francuskiej poezji trzymać się mamy, powinien każdemu wskazać gust narodowy, nie zaś uprzedzenie za jednym albo przeciw drugiemu. Nie bądźmy echem cudzoziemców! Nie na samym zachowaniu formalności i przyjętego gustu, zalety jednej, ani też na odstąpieniu wszelkich przepisów, zawisły piękności drugiej. Gienjusz umie swobodę swoją z prawami pogodzić; mierny talent nic prócz ich niewolniczego dopełnienia nie robi. Strzeżmy się samej powierzchowności francuskiej, nie do uczucia, ale do gustu tylko mówiącej, gdyż wyższe jest poezji powołanie; strzeżmy się zapuszczania niemieckiego, które zamiast nadania barwy wyobrażeniom zaciemnia pojęcie. Nie szanujemy wyłącznie w poezji samego dobrego tonu, jak nas Francuzi nauczylili, gdyż ona jest jedynym pomnikiem złotego wieku; i teraz jak na godach świąt saturnowych powinni wszyscy mieć do niej uczestnictwo. Francuzi, znający w swej poezji tylko wysokie osoby, albo idealnych pasterzów, nie malują obywatelstwa, czym Niemcy poezję swoją upowszechniają i zbawienne osiągają skutki, wystawując piękny ideał rodzinnego pożycia. Czcic należy cnoty i zasługi wielkich osób, ale nie wystawiamy ich, jak

francuskie zimne ody i zawsze jednotonne tragedje, w których nie odznaczają ich piętnem charakteru, wieku i stopnia, ale z jednakową zawsze galanterją i dworszczyzną każą im deklamować. Nie na błahym też tylko zaspokojeniu prawdopodobieństwa, przez ciąg 24 godzin i cztery ściany, ale na wrażliwym i rozsądnym rozwijaniu wátka sztuki zależy zamiar dramatyczny; sądźmy o sztuce według tego, ile nas do końca zajmuje, jakie uczucie zostawia w nas po opuszczeniu sceny. Nie różmy równie jak Niemcy wszystkich bohaterów szumnemi poetami, szanujemy obok natury sztukę i przyzwoitość, nadewszystko kunsztowne, nie zaś niewolnicze prawdopodobieństwo. Nie bądźmy jak Francuzi niewolnikami przepisów, ażeby się coś naturze zostało; nie bądźmy jak Niemcy zachwałami ich przestępcami, ażeby naturze służyły sztuka i prawa rozsądku. Poezja być powinna jak kamień drogi, który mając wartość swoją wewnętrzną, przez polor i sztukę nabiera jej jeszcze i dla oka powabniejszym się staje. Wewnętrzne poezji zalety uczucia i wyobraźni, osobliwie zaś dążenia filozoficznego widzimy w Niemcach; zewnętrzne, gustu i poloru, mamy w Francuzach; powinibyśmy obiedwie połączyć. Jak uczucia czerpane z powszechnej natury, tak przepisy wynikłe z powszechnego rozsądku, wszędzie służyć powinny. Słońce wszędzie płody rozwija, gdzie sięga, ale ręka sztuki idzie mu na pomoc. Gdzie płodna ziemia, tam sztuka strzeże przebudowania i zdobi ją, gdzie mniej płodna, tam więcej dopomaga naturze.”

ADAM MICKIEWICZ.

O krytykach i recenzentach warszawskich (1829):

(Wyjątek).

Oburzony na drobiazgowość i bezmyślność krytyków warszawskich, zwracających prawie wyłącznie uwagę na słowa pojętyńcze, a zapominających o rzeczywistych wartościach poezji, Mickiewicz wystąpił przeciwko nim, odnawiając im jakiejkolwiek nauki i zdolności krytycznych. Wystąpienie utrzymane jest

w tonie bardzo ostrym, jak to czytelnik może przekonać się z powyższego najważniejszego urywku.

„Smutniejszy jeszcze widok przedstawia szkoła krytyczna w tej epoce (t. j. w okresie walki romantyków z klasykami). Jej corpus iuris składały kursa literatury w liceach i prytaneach francuskich naówczas używane, przedmowy, znajdujące się na czele dzieł Kornela, Rasyna i Woltera, rozbiory i komentarze, wspominające jeszcze o sporach ze Skiuderym i Szaplenem, uwagi retoryczne i gramatyczne nad wierszami francuskimi. Tak bogato w wiadomości opatrzeni krytycy zaczęli pospolicie od nadania autorom pewnych tytułów, jednego zowiąc polskim Kornelem, drugiego Pindarem, innego znowu Książęciem mówców lub poetów. Szczęśliwszym dostawało się kilka razem donacji i tytułów. Któryś z młodych recenzentów warszawskich nazwał to dowcipnie literacką maskaradą. W ocenieniu szczegółowym autorów i ich porównywaniu powtarzały się wiecznie owe szkolne topiki: ten np. autor lekki, dowcipny, zabawny, tamten ponury, smutny, górny i t. p. Jeżeli który z Iksów, zastanawiając się nad tragedją, wzniósł się do wyższych spekulacji, do rozpraw o trzech jednościach, i pokazał, że jednej lub drugiej braknie w sztuce, jeśli dostrzegł, że między sceną a sceną próżny został teatr, dowiódł, że w tej lub owej scenie trzeba sobie wyobrazić przysionek zamiast sieni, zdumiewano się nad talentem i wiadomościami takowego Iksa. W wyroku o stylach albo raczej o stylu, bo jeden tylko styl znano, do jednego dążono, wyłączną powagę miały retoryczne i gramatyczne o wierszach francuskich przepisy. Najwięcej też lubiono krytykę drobiazgową, bo po wygadaniu się o trzech jednościach, o poetykach Horacego i Boala, już się uwag ogólnych przebiegało. Okresy więc, wiersze szczególne, wyrazy całą zajęły uwagę. Zabawnie było widzieć recenzentów, obracających wspólnymi siłami jedno wyrażenie lub wiersz, często niegodny uwagi, ciągnących go mozolnie na forum krytyczne, jak mrówki Karpińskiego tuszę muchy lub ćwierć robaczka i ledwie nie upadających pod tak wielkim ciężarem.

W takim stanie krytyki, godne uwagi i budujące jest dobre porozumienie sąsiedzkie, w jakim krytycy z sobą i autorami żyli, uszanowanie, z jakim zobopólne wyroki przyjmowali, i skrupulatność, z jaką je dosłownie z ust do ust, z pióra do pióra przelewali. Zdanie księdza Golańskiego przytacza Franciszek Dmochowski, Franciszka Dmochowskiego przytacza Ludwik Osiński, wszystkich przytacza Stanisław Potocki, wszyscy przytaczają Stanisława Potockiego. Zdania te koncentrują się na chwilę w historii literatury Bentkowskiego, skąd w różnych przytaczaniach kanałem dzienników, przedmów i mów po-

chwalnych do swoich źródeł wracają. Utrzymuje się tym sposobem w Warszawie w ciągłym obiegu pewna liczba zdań, nie mających gdzieindziej żadnej wartości, jak na Żmudzi ciągle krążą stare talary holenderskie i orty.

Tej krytycznej szkoły dotąd istnieją w Warszawie zwolennicy, w coraz przykrzejszym i zabawniejszym względem Europy położeniu. Wszystko się koło nich w literaturze od Gibraltaru do morza Białego zmieniło, oni na poetyce szkolnej, jak na kotwicy, stoją nieporuszeni. Słabiejącą odwagę krzepią czytaniem broszurek i kilku dzienników francuskich, najmniej we Francji czytanych. Można by ich porównać do owych prawodawców naszych, na mocy konstytucji, której nie rozumieli, obstarających za władzą hetmańską i liberum veto, i mimo przyjętej w ościennych krajach nowej taktyki, przeciwiających się zagranicznemu autoramentowi i przekonanych, że oprócz kawalerji narodowej wszystko jest czczym niemieckim wymysłem. Daremnie do nich Krasicki, a my z Krasickim wołamy do tak nazwanych klasyków:

Trzeba się uczyć, upłynął czas złoty.

Już krytyka historyczna w dziejach naszych zajaśniała, już w prawoznawstwie metoda historyczna wypędziła dawny dogmatyzm, krytyka literacka jeszcze zupełnie scholastyczną została. Dzisiaj, że Wschód pominę, w samej Europie tylu narodów tak bogate literatury stoją otworem. Sami Francuzi, wyrzekszy się wmawianej przez szkołę Woltera swojej wyłącznej cywilizacji, uczą się, tłómaczą, nowe tworzą rodzaje. Nasi uczeni, oprócz literatury francuskiej do połowy ośmnastego wieku, nic godnego uczenia się nie widzą. Rozumują z Kalifem Omarem, że albo wszystkie obce literatury zgodne są z poetyką Boala i wtenczas mniej potrzebne, albo niezgodne, a zatem szkodliwe. Obstają niby przy starożytności, przy klasyczości, jakże niesumiennie nadużywają tych wyrazów? Toż oni, nie umiając łaciny, nie mając pojęcia o greczyźnie, chcą uczyć Anglików, Niemców, jak starożytną sztukę cenić i czuć należy, o ile formy jej naśladować wolno. Dziś, kiedy w tylu językach tyle arcydzieł tak różnych zajmuje uwagę, trzeba talentów i różnorodnej nauki Szleglów, Tika, Simondego, Hazlita, Gizo, Wilmena i redaktorów Globu. Jakże ku temu dążą recenzenci ze szkoły księdza Golańskiego i Franciszka Dmochowskiego? Jedni śmieją się z Getego, którego dzieła na całym ucywilizowanym świecie aż do rogatek warszawskich tłómaczono, czytano i ceniono, drudzy cieszą się, że nie umieją po holendersku i nie czytają Lessynga, inni nawet radzą wyciągnąć kordon zdrowia, ażeby przypadkiem nauka nie wkradła

się z zagranicy. Tej blokady rozumu, acz potrzebnej do utrzymania w cenie wyrobów wierszowych warszawskich, nie uznaje publiczność. Oświadczyli się przeciwko niej w samej Warszawie niektórzy poeci i teoretycy. Zaraza obcych nauk szerzy się tak dalece, że nawet prawowierni klasycy przytaczają imiona Getego, Mura, Byrona: imion tych wielkich nie należałoby wywierać nadaremnie, kiedy dzieła ich jeszcze tak mało znane, tak rzadko dostają się za kordon klasyczny. Rozprawiać zaś o tych dziełach, tudzież o sztukach i o poezji w ogólności z zapasem tylko szkolnych prawideł i z Laharpem można za stołem lub w salonie, ale z piórem w gazecie literackiej już się nie godzi. Recenzenci klasyczni warszawscy, stanowiący śmiało i zarozumiale o ważnych przedmiotach literatury, podobni są do miasteczkowych polityków, którzy, nie czytając nawet gazet zagranicznych, wyrokuje o tajemnicach gabinetów i działaniach wodzów. Szczęśliwi!“

MAURYCY MOCHNACKI.

O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym (1830).

(Wyjątki).

Z pracy niniejszej bliżej obchodzi nas rozdział drugi: „Co rozumieć potrzeba przez literaturę?“, w którym Mochnacki występuje po stronie romantyzmu.

„Mówić będę o piśmiennym sektarstwie w Polsce. — Rzecz ta należy do ogólnego widoku dzisiejszej literatury naszej, która nie tylko jest w dziełach uczonych, w utworach artystów, ale także w opinii i dyspozycji powszechnej. Powinno jednak uprzedzić czytelnika, że odstąpiłem w tej mierze od zdania pospolitego: jakoby różnolcowe stronnictwa piśmiennicze, spory i rozterki literackie miały co szkodzić oświeceniu. Od tego niektórzy wielkim się krzyżem żegnają. Ja zaś przeciwnie sędzę, poczytując wszelkie niesnaski za zbawienne i pożyteczne.

Życie w każdym wyraża się rozniesieniem mniemań. Pierwszych tego śladów nie trzeba zacierać w literaturze; byłoby to źle zrozumianą miłością zgody i pokoju. Dualizm głów-

nym wszystkiego warunkiem na tym świecie. Kiedy przed kilku laty nowe twory ojczystego dowcipu i nowe wyobrażenia teoretyczne poruszyły u nas dosyć zawiłą materję sprzeczek między stronnikami dwóch systematów, tak zwanego romantycznego i klasycznego, nikt naówczas nie zgadywał, co było istotną przyczyną tego nieporozumienia, i jakie stąd korzyści urosną dla literatury polskiej? Przeciwnie, mniemano, jakoby ta dysputa, opanowawszy niedoświadczone umysły, sprowadzić je miała z drogi, wiodącej do prawdziwego światła, gustu i piękności. Przyszło nawet do tego, że ludzie w naukach okazale biegli, gorliwi o ich wzrost i powodzenie, młodzież szkolną odwieść chcieli od wszelkiego uczestnictwa w niesnaskach, które oświecając publiczność Francji i Niemiec tak silnie zajmowały. Tymczasem w skutku się to oczywiście pokazuje: jak niepotrzebna była ich obawa. Teraz bowiem nic w tym wątpić nie mamy, że ów niepokój bardzo wiele dobrego zrządził w krajowym piśmiennictwie: ponieważ obudził ze snu lenistwa talenty i dowcipy, wychylił z pod cienia rozmaite widoki przedmiotów estetycznych i wyrwał na jaśniejsze, prawdziwsze opinie w tym względzie. Nareszcie, otarszy z starych pleśni mnożąc uprzedzenia, zniewolił nas do zabrania ściślejszej znajomości z pismami znakomitych literatów, którzy tę samą rzecz w obcych językach roztrząsali. Rzecz dziwna i godna uważania! Od czasów kłótni Orzechowskiego z Stankarem i Modrzewskim, żaden rozterk piśmienny nie był u nas tak głośny. Żaden przedmiot literacki tyle piór nie zaprzął. Żadna waśń nie zrządziła takich skutków. Pod tym względem staliśmy się częścią europejskiej publiczności dziewiętnastego wieku. To samo bowiem odstępstwo od prawodawstwa apollinowego, toż odstryknięcie się od poetyckiej wiary, jakie zburzyło spokojność na świecie literackim postronnych narodów, i u nas także od lat kilku szerzy się, nie za szkolnemi ławami, ale co daleko więcej znaczy w dobranym światlejszym towarzystwie, i całą niemal Polskę od jednego końca do drugiego przebiega. W salonach, gdzie mało co przedtym popisywały się ulotne tylko dowcipy ulotniejszemi jeszcze błyskotkami, panuje teraz gust daleko prawdziwszy, nie samej tylko oglądy i zewnętrznej okraszy szukający; w mniemaniu powszechnym nawet, gruntuje się i zjawstwo i rozsądek estetyczny. Taką zaś ma dziwną siłę, taką moc nieukróconą owa dysputa, że i ci, co żadnego wyobrażenia nie mają ani o klasyczności, ani o poezji romantycznej, chcieliby jednak należeć, i w samej rzeczy należą do tej lub tamtej koterji literackiej. Więcej powiem: nietylko należą przyjęciem nazwiska jednego z dwóch stronnictw, ale powielekroć trafia się, że piszą, choć tego, o czym piszą, często

sami dobrze nie rozumieją. Piszą źle, nie obeznawszy się pierwszej z rzeczą. To prawda. Ale jednak piszą, rozprawiają, myślą. Czyli innemi słowy: uczą się i myśleć, i pisać, i rozprawiać. Częstokroć atoli zdarza się pod tym względem czytać bardzo dobrze pomyślane i wyłożone artykuły w naszych dziennikach perjodycznych. Rzecz ta jest dosyć ogólna, oderwana, metafizyczna, przynajmniej kiedy ją przyłożymy do miary zwyczajnego pojęcia. Przeto, po odciągnięciu nazwisk i przedmiotu, można by uważać ów spór romantyków z klasykami jako pole ćwiczenia się w rozumowaniu, jako gimnastykę umysłową; a może jako przynętę i wab do wyższych rozpraw. Powtarzam raz jeszcze: literatura nie w samych tylko piśmiennych mieści się tworach, ale jest także w opinii publicznej. Stosunek tej do tamtej obojętny być nie może dla prawdziwego krytyka. Nie sami tylko autorowie, ale i czytelnicy pomagają piśmiennictwu. Gdy podobne nieporozumienia, jak w systemie teraźniejszej literatury poetyckiej zakłóca u nas spokojność we względzie filozofii i umiejętności, tak głuchą, i tak wygodną ospałości lenistwa, natenczas może ostrząśnieni się z niemocy djalektycznej, jak poczęści zaczynamy wychodzić z krytycznego obskurantyzmu; wówczas spekulacyjne, metafizyczne, transcendentalne teorie, jakie daleka przeczność naszych uczonych kłatwą obłożyła, otworzą nieznana drogę młodzieży polskiej, i myśl nieznana potęgą działać zacznie.

Że starszyzna uczonej hierarchii polskiej krzywo, z urazą dotąd nieukojoną patrzyła na to rozerwanie jedności w rzeczach ojczystego Parnasu, wielorakie tego przyczyny naznaczyć można. Albowiem nie sięgając baczniejszym rozmysłem zmiany, jakiej w sobie doznało na początku dziewiętnastego wieku powszechne niemal systema poetyckiej i kunsztownej literatury europejskiej, chciała pierwszej spuścić na sąd głowy swojej, i jako się jej podobało przyjąć albo odrzucić, co nie poszło z przygody, ale z osobnego zrządzenia, co koniecznie nastąpić musiało, co było wypadkiem ogólnej dążności i ogólnych usposobień. Przeto wszystką chęć swoją, myśl i starania położyła była zrazu w obronie szkoły, wsławionej przez pisarzy francuskich tak we względzie praktycznym, jako i teoretycznym, którą osobliwie zaszczycały: długie powodzenie na świecie, i nazwisko okazalsze niż właściwe, albo zasłużone. Lecz nie tak to łatwo potłumiają się w narodzie usposobienia choć niezupełnie rozwinięte, i nie tak łatwo powszechniejsza dążność się wstrzymuje. — Mniemano natenczas, że tak zwana romantyczność jest tylko jednej, lub kilku głów wymysłem, toż jakoby była szczególnym rodzajem poezji, jak np. bajka, satyra, albo sielanka. Widziano w tym sam niesmak, samych upiórów, czary, samych duchów i nieboszczyków, chodzących po

świecie. Wyobrażenie literatury ledwo nie do samych romanów i wierszopisarstwa było u nas zacieśnione. Nikt jej nie uważał w związku z przeszłością, w związku z masą myśli i pojęć, — któremi się istota narodu wyraża. Wynaleziono nazwisko pięknej literatury ku rozrywce kobiet i beletrystów; a postawa tych trefnisiów w literaturze była, że tak powiem, jedwabna, — nawet ich słowa były pieszczone. Oni mieli zemdloną mowę. Światlejsi rozumieli przez poezję kunsztowną tylko zabawę, igraszkę, cacko. I nic więcej! Z przyczyn naturalnych takie zdania w dzisiejszym czasie do miary już nie przypadały; nie mogły też ku sobie pociągnąć literackiej młodzieży. Tę jak gdzieindziej, tak i u nas większa może umysłu giętkość, a żywsze bez wątpienia objęcie i niestępione uczucia sposobniejszą czyniły ku prędkiemu wtajemniczeniu się w owe misterstwo niewidomego ducha, sprawcy wszelkich przeobrażeń w literaturze dzisiejszych ludów Europy, który jedynym, ale pochmurnym wejrzeniem ośmielił gienjusz poety, artysty, filozofa, podając im do ręki władzę nigdy przedtym nieznaną z takiej mocy, rozdzierając przed niemi zasłonę nigdy nieukazanych dziwów w naturze, w sercu ludzkim, w przeszłości, we wszystkim, co ich otaczało! — Błyszczała ta nowość młodzieży polskiej tak nadobnie w dali, że tą razą ani rady, ani upominające przestrzeganie, ani nauka pomiaru, nie włożyły na nią żadnego przymuszenia. W tym dziale narodu, zamykającym najpiękniejsze jego nadzieje, przyklaskiwano nowej Muzie, co nie wiedzieć skąd, i nie wiedzieć z jakiego zrządzenia liczne, wspańiałe dary naokoło siebie rozdawać zaczęła to temu, to owemu, wedle swego upodobania. Jej uśmiech nie był z tego świata! Smutna, żałośna, polubiła to ustronie nad Wisłą, Wilją i Dnieprem, i nasz ostry klimat, i nasze niebo pochmurne. W szacie ukazała się białej, a nikt nie wiedział, co to za jawisko? Nucila różne pieśni i górne, i gminne, na wysoką nutę i niską, pierwsze westchnienia swoje miesząc jakby z zarannego wiatru powiewem. Młodzieńcze tylko uniesienia wspaniałszą jej cześć wymierzały; w poważniejszym kole wzruszano ramionami. Tu doznała albo niegościnnego przyjęcia albo publicznej wzgardy, obelg. Każdy wiek ceniał ludzie podług przeciwnych, wojujących z sobą ostateczności; lubo zresztą przyznać trzeba, że i to, co się w środku między niemi dzieje, godne także uważania, jeżeli nie pamięci. Jakożkolwiek bądź: gdzie tylko pokaże się coś nowego, niezgodnego z dawniejszym, już to pewnie z tej lub innej miary zburzoną, zepsutą oznacza równowagę. Sami prawie młodzi pisarze ten spór popierali, zasilali, wymyślając coraz nowe podniety i waby żartkim dowcipem swoim trudnym ku ukróceniu, jeżeli się raz

w czymkolwiek rozżarzy; a kiedy który z starszych braci poważniejszym, uczonym ozwał się głosem, głos ten nikomu żadnego pożytku nie czynił: albowiem twarde były ich słowa i niewzględne. Jak z jednej, tak i z drugiej strony nic postąpić nie chciano. Jednym szła gra o zasłużone mistrzostwo nad opinią społecznych, a bardziej jeszcze o to, żeby jak najdłużej cieszyli się mirtową na skroniach opaską i wieńcami apollinowej chwały, jakby te zwieńczyć nie mogły; drudzy stawiali się przykładami, które zdobył wdzięk świeższych powabów, którym nadto zgodność z duchem czasu i wzniosłymi jego wyobrażeniami okrasza przysparzała.

Jakże?—Cóż znaczył u nas ten głośny rozterk, że jedni nazywali się romantykami, a drudzy klasykami? Wszyscy unieśliśmy się wiatrem nowej nauki, wszyscy dzieliłiśmy te nieporozumienia. Nie było to jednak naśladowstwo postronnych swarów, ani też dziecinna słów igraszka. Nie ważmy sobie tak lekko rzeczy, które się daleko w narodzie rozpostarły, a przynajmniej między światlejszą publicznością. Potrzeba dalej zasięgnąć i baczniejszym rozmysłem.

Czy możemy razem z mieszkańcami południowych krain zawołać w uniesieniu: to niebo nad nami, i ta ziemia, te góry i te doliny pierwszych wieszczów naszych natchnęły! Gdzieindziej poezja poprzedziła wschód zręstszej przez główne umiejętności oświaty. U nas przeciwnie się stało. Z zapadłych czasów żadne harmonijne pieśni nas nie doszły,—tylko może świegotania niestrojnej gęśli. Gdzież są ojcowie naszej poezji? Daremno szukalibyśmy ich w tej omglonej przeszłości, kiedy z śmiałych przedsięwzięć i rycerstwa w przełożeniu plemię Piastów na sławiańskiej ziemi słynęło. Bolesławowie podobno żadnego barda nie mieli. Czasy poetyckie, godne śpiewu bardów, przeminęły bez wieszczego uniesienia. Sprawy, mądrość wielkich mężów w gminnej pieśni, w pieśni ludu nie zawiekowała; co przeszłe czasy staraniu następnych pokoleń poruciły, zdaje się, odkazem wspaniałej puścizny.

Ocalała w Saksonji z czasów najazdu Franków pamięć irmińskiego słupa. Starożyte, cieniste dęby poświęconego gaju Wodana nie straciły czarnoksięskiej natury. Przypomniano sobie czasy wielkiego Hermana,—Witykind ożył.—Ale my jeszcze piękniejsze mamy zabytki!

W dziejach polskiego narodu nie jedna wielkimi nadziejami rozblęsnęła chwila! I u nas nieprzerodną płodnością szerzyły się rozległe pojęcia. Mieliśmy poetyckie czasy, czasy olbrzymiej mocy; mieliśmy rzeczywistą poezję w życiu, lecz nikt jej nie przekazał następny pokoleniom utworami poetyckiego gienjuszu. Tę myśl potrzeba dobrze zrozumieć; to

bowiem, jak sędzę, charakteryzuje naszą dzisiejszą poetycką literaturę. Z tego tylko względu uważać ją będę.

Wejrzyjmy naprzykład w wiek Bolesława Wielkiego. Szerzyła się w dziedzinie bolesławowskiej, górowała potężna myśl, wielka, genialna idea, którą ten mąż nadzwyczajny, że tak powiem, namiestniczą sprawował władzę ludów słowiańskich. Myśl ich jedności, mocy, chwały!"

Następnie Mochnacki rysuje nam ideje i czasy Bolesława Chrobrego, przypomina postać Bolesława Śmiałego, Łokietka i tak mówi dalej:

"Tak jest!—mieliśmy poetyckie czasy. Kiedy przeminęły, kiedy się wszystko w nic rozwiało, dopiero za naszych czasów zjawili się poeci. Nie w kwiecie, nie we wroście, ale ku schyłkowi. Cieniem jest ich poezja, wywołaniem z pamięci. Los dzwiny zrzucił, że poetycka literatura nasza, w wiekach szerzenia się zwycięskiego olbrzymich pomysłów, nie rozwikłała się, i na tysiączne jak z jednego atomu światła, nie rozbiła promienie. Ona jest tego wszystkiego nie zwierciadłem, ale przypomnieniem. Stąd ten senny jej charakter, melancholijny, jak dźwięk dalekiego echa. Cóż zostało z energii ducha wojennego, z mocy pierwotnej, plemiennego dzielnego rodu? Nic. — Cóż się poetyckiego z bolesławowskich, poetyckich wysnuło czasów? Nic.—Dopiero za Zygmunta, z powszechniejszą znajomością łacińskiego języka, zaczęto u nas naśladować rzymskich rymotwórców. Polityczne instytucje wykształciły prozę i krasomówstwo. Tych nieporównane zabytki teraz jeszcze wzbudzają zdziwienie. Gdy w Europie dźwignęły się z upadku nauki, i u nas nie zbywało na rodakach, okazałe w nich biegłych. Nikt nas wtenczas nie przewyższył w wyborze i liczbie pisarzy. Owszem, z najokrzesańszymi narodami całego świata mogliśmy grać o lepszą w tej mierze. W następnych czasach różnokolejne nachylenie się do upadku pospolitej rzeczy wielki wpływ miało w publiczne oświecenie. Polskę, lecącą nierządem do tego upadku, począwszy od Zygmunta III, zaległa gruba pomroka. Zepsuł się język ojczysty. Chwałę lepszych czasów niewiadomość przyćmiła. Nareszcie, po długiej przerwie publicznego oświecenia, rozszedł się z klasztoru w całe Polskę odgłos Konarskiego, dawną świetność ojczystej mowy, a z nią i wyobrażeń narodowych wywołujący z zapomnienia wprzód jeszcze, nim Stanisław August zasiadł na tronie Piastów i Jagiełłów. Za sprawą tego wskrzescy nauk znowu zaczęto u nas, i z lepszym skutkiem, uprawiać odłogiem zapuszczoną niwę. Bielowski, Minasowicz, Bohomolec przetarli zdziczały język, który terazniejszy polor swój i wykształcenie winien ich następcom na polskim Parnasie: szczególniejsz Krasic-

kiemu, Węgierskiemu, Naruszewiczowi, Trębcekiemu. Są to wielcy reformatorowie, wielcy nauczyciele; zaszcypcy nieznanych pojęć; dobrzy Polacy, gorliwi ludzie. Ci znamienici pisarze okryli się nieprzemenną chwałą, niepożyta czasem. Imiona ich wdzięczność narodu wiecznej poświęciła pamięci.—Ale także, każdy to z nami przyzna, bo tego nie możemy zataić przed samymi sobą: że ci mężowie rzecz cale nową skądinąd zaprowadzili do kraju. Nową upowszechnili kulturę. Jako ogrodnicy w pień spróchniały starego drzewa z bujnej, gdzieindziej posadzonej krzewiny, latorośl wszczepiają; tak samo i oni: stosując ku naglącej potrzebie czasu obywatelskie, pocziwe chęci i starania swoje, z obcej ziemi, z pod obcego nieba rozszerzali w Polsce wyobrażenia i pojęcia, nakształt postronnej monety, nieznanym stępem celowanej. Ta moneta chyżym krążyła obiegiem. Z obcym rozumem, z obcymi wyobrażeniami wcisnęły się do nas obce uczucia, zwyczaje. Nic prawie dawnego nie ostało się. Zmieniono stroje, szaty. Po większej części wzmogliśmy się cudzą isticzną. Wszystko było postronne: kształt, postawa, ułożenie. Ten cały gmach oświecenia nie wspierał się w przeszłym wieku i nie był umocowany na historycznej posadzce. Najbardziej zaś w literaturze poetyckiej przecięty został związek z przeszłością. Ta literatura wyrażała ducha, który nie był duchem narodu. Zamykała myśl na jaśnie wyciągniętą, która myślą przeszłości nie była. Twórcza jest fantazja poetycka; coraz nowe maluje kształty, ale i to, co minęło, w właściwe przybiera szaty. Takiej fantazji nie mieli poeci Stanisława Augusta. Śmiało to piszę: oni nie byli poetami. W ich pieśniach odbijała się czyjaś postać, ale omylna, nie nasza.

W pierwszych momentach rozjaśniającego się u nas brasku cywilizacji, ledwo nie z pierwszymi dniejącej jutrzeźki promykami, ujrzeliśmy plody dowiepu francuskich pisarzy w zaszczytce wziętości u postronnych i największym blasku chwały. Był to wiek panowania literatury francuskiej w całej Europie. I nasze olśnęły źrenice na widok tej świetnej, prędkiej, okazałej kultury. Wiek Stanisława Augusta był wiekiem krasomówstwa w poezji opisowej; wiekiem satyr, bajek, epigramatów. Była wierszomanja! Było modą ulotne pisać rymy. I na przedpodwojowym, przedpokojowym rymotwórstwie nie zbywało... Zaiste nie mogliśmy nie ulec rozszerzonemu w całej Europie wpływowi języka, filozofji i literatury francuskiej! Żądaniem z tyłu miar przechodzącym ówczesną możność, okazywalibyśmy tylko nieżyczliwe uprzedzenie ku tym prawdziwym założycielom i rozmnożycielom oświecenia w Polsce. Brodziński dobrze mówi: „byłoby to jedno, co naśmiewać się z ojca, który

zubożony, jako mógł, dorabiał się majątku, aby przynajmniej synów wychować.“—Wyrazy prawdziwego krytyka, obywatela!

Taki był status quo polskiego Parnasu i estetycznej krytyki naszej przed niewielą jeszcze laty!—Za naszej zjawili się pamięci długo oczekiwani nowi pisarze, prawdziwi poeci, pełni talentu i daru wieszczonego ducha. A przodek przed niemi trzymał letni starzec, wyniosły mąż osiemnastego wieku, nad którym górował wyższością i mocą swego gienjuszu,—sędziwy, pobożny mówca, natchniony poeta Sybilli i Lechiady,—poeta żałoby narodowej. A obok niego w równej mierze stanął drugi starzec! Ten w grobowce sławnych ziomków swoich wszczepia gałązki cyprysowe, i żadnego niemasz obrzędu pogrzebowego, gdzie wszyscy płaczą, któregooby za dni naszych nie świecił swoją wymową. Reprezentant powszechnego wszystkich żalu pisał dla dzieci i dla starszych śpiewy historyczne. On wykształcił dumę polską. Nakoniec Kazimierz Brodziński wziął pióro do ręki; zaczął mądrze, głęboko rozmyślać o poezji: i ujrzeliśmy pierwszego krytyka, pierwszego estetyka w Polsce! Wszczęła się potym waśń; jedni na drugich ostre miotali słowa. Skądże ten rozterk?—Oto, że wedle wyrazów mędrca chromy jako jeleń poskoczył i rozwiązał się język niemych. Zaczęto ściśle ważyć zasługę literacką, talent, poezję. Rzecz nie miała tych rozpraw była przedmiotem. Sektarstwo podzieliło umysły. Rozchwiała się dawna nauka. Stare zdanie upadło. Pojrzeliśmy za siebie na wiek upłyniony i ku dalszym jeszcze czasom. Kiedy jedno przymierzamy z drugim, nie było zgody w literaturze między przeszłością daleką, poetycką, rycerską podbijającą Polski, a tym wiekiem upłynionym Stanisława Augusta, gdy się już rzeczy znacznie miały do upadku. Jedno z drugim nie rymowało. Mieliśmy boleść na sercu. Raziły przeciwieństwa jasne jak na dłoni. W literaturze poetyckiej naśladowanej, którą bez pomiarowania chwalono, którą dzisiaj nawet niezłomny wielu zaciętych w zdaniu swoim upór wysadza za wzór niedościgłej doskonałości, poloru i wdzięku, zniknęła stara Polska. Ta główna wszystkich niesnasek przyczyna! Pogasły były stare tradycje, pocichły wieści i powiastki, tak potrzebne każdemu ludowi i każdemu wielkiemu poecie, wielkiemu sztukmistrzowi. Rozstroił się, ba—nawet roztrzaskał na kawałki stary dzwiczny ów bardon, którym niegdyś chwalono Boga w kościele i walecznych w boju. Zdał się niby ladajakim sprzętem nowatorom. Zaszły także rdzą dawne pamiątki; a tymczasem nić kłęбка dziejów ledwie do połowy wyciągnięta co chwila to zrywała się, to gmatwała; wreszcie i wątku nie stało. Wszystko się jak ze szwu rozpruło! Dopiero przetarszy oczy, w sam czas jeszcze przyszliśmy do

siebie. Dopiero w myśl nam wpadło, że może przez długi czas w nie swoim poczuwaliśmy się jestestwie, tuląc do łona i piastując jakby umarłe w pieluchach dziecię umarłej imaginacji. Zapal owionął głowy. Młodzi pisarze pochwycili geśl minionych wieków. Przewano ich romantykami, bo nieznane piosnki nucili o Kozakach, rusałkach, dziadach i strachach; a Jan Śniadecki, biegłyjszy zapewne matematyk i astronom, niżeli krytyk, wołał, jakoby to wszystko było wymysłem oswiałej metafizyki niemieckiej.

Tak samo prawie lekarz doświadczony, okazał się biegły w swej sztuce, chorego za rękę bierz! Puls bije mocno, bije często, bije coraz mocniej i coraz częściej. Oczywiście gorączka! Idzie więc, siada, pisze receptę na ochłodę krwi wzburzonej. Lecz to nic nie pomaga. Niemoc głowę i myśli opanowała. Chory ma drżenie w sercu i boleść na duszy. Trzeba innego lekarstwa i lekarza!

Ważną estetyczną, piśmienną, krytyczną sektarstwem oznajmił, po długim far niente, chęć wyrażenia ducha twórczego, łamiącego się z uprzedzeniem i przeciwnością; chęć objawienia naszych własnych wyobrażeń, pojęć. W Niemczech wyciągnięto z filozofii ogólną, metafizyczną teorią piękności. Krytyka, wsparta na tej teorii, wszystko w odmiennym ukazała świetle. Ta chwila nazawsze będzie pamiętna w dziejach europejskiej, poetyckiej literatury. Były to początki estetycznej emancypacji z pod przymusu francuskich, cudzych pojęć. W to ugodził Kazimierz Brodziński rozprawami, pisaniami ozdobnemi, a z wielkim, jak podówczas wypadało, umiarkowaniem, żeby nikogo nowością nie zrazić. On pierwszy, — jak powiedział Michał Grabowski, — zrobił w literaturze polskiej krok stanowczy, krok olbrzymi: bo od dowcipu do myśli, od sentymentalności do czucia, od sztuki do natury. Pierwszy prze-czuł poezję narodową, i we własnym ją sercu wynalazł. — Chcieliśmy mieć swoją imaginację, swój rozsądek estetyczny, swoje uczucie i własne fantastyczne zmyślenie. W tym istotna przyczyna, w tym główna podnieta sporu, który przyjął poezję i sztukę, pożywających dotąd jej owoce w zgodzie i dobrym porozumieniu, na dwa rozerwał stronnictwa. — Cobądź na podstawie historycznej nie jest założone, własną niemocą przedzie czy później upaść musi; bo nie ma gruntu pod sobą. Poetycka literatura Stanisława Augusta, (niechaj jako kto chce wywyższa dowcip, talent wielu ówczesnych pisarzy) nie była ugruntowana na tej podstawie. Obecny zasiew wybujał; ale kłosa czcze były po większej części, a ziarno nieważne, lekkie; reszta to w łodygę, to w nać się rozrosła. Następni tej niwy uprawiacze, tej samej szkoły uczniowie, chwalczy tych samych przy-

kładów, coraz dalej doskonaląc, z początkiem dzisiejszego wieku, wierszopiski mechanizm, ulepszając naśladowstwo, coraz większego nieurodzaju, coraz biedniejszego zbioru czynili nadzieję. Nie polska, nie z zapadłych czasów rycerskich, ni z czasów szlacheckiego gminowładztwa, ale obca jakaś postać, zemdląca, omdlewająca, niemiecka w tym ich rymotwórstwie ukazała się.

Czegóż chcieli romantycy na ziemi Bolesława Chrobrego? Ojczystej poezji, związku z dawniejszą Polską i rozumem starego czasu; nie mieli tego u siebie za rzecz dobrą i piękną, że wiarę pocziwych ojców cieśniły w literaturze poetyckiej swawolne pieśni, jakby całopalenia ze czcią tylko bożków marmurowego politeizmu, nie przypadającego do miary z cywilizacją i duchem chrześcijańskiej Europy. Chcieli oni większej zapewne z wspomnieniami zgody mniemając, że groby i rumowiska do życia należą, i jakoby samo zniszczenie było tylko atomem, jednym z pierwiastków rzeczywistości. Pokochali wyobrażenia i fantazję gminu dlatego, że w prostocie serca najwięcej poetyckiej prawdy i szczeroty. Oni to chcieli obraz malarzski roztrąconego jestestwa w zwierciadlanym pokazać przeczuciu, żeby myśl prędką jak widzenie, a chęć dobrą, ognistą, jak płomień, wzniecił, rozpałił. Nabijali romantycy w ucho ziomkom swoim, że przeminął czas, kiedy u nas pisano wiersze na cześć kształtnych stóp kobiecych i misternie trefionych kędziorów. Do górnieszego wzniesli się lotu! Ten gdzieindziej zmierzał. Do wyższych dźwięków, do wspaniałych tonów i piękniejszych akordów naciągnęli strunę. Zadrżała w ich rękę, zabrzmiała! Żałośnie i tęsknie ich pienie, naksztalt dumań samotnika, co po długiej niebytności, z burzy świata, z rozdartym sercem wraca do domu, nieznany, ledwie postrzeżony, a choć gada swoim o swoich rzeczach, nikt go jednak nie rozumie.

Czegóż chcieli polscy klasycy? Oni tej całej nie pojmowali zagadki. Mniemając, jakoby nie czas jeszcze było myśleć po swojemu i wszystko rozumieć swoim pojęciem, przestrzegali delikatności, zalecali poprawność smaku. Powielokroć śmieli się z złych wierszów i złej prozy niewyćwiczonego talentu. Chwalili, co było godniejsze nagany, a ganili, co zewszecmiar na pochwałę zasługiwało.

Ale jak pierwsi, tak drudzy zacni ludzie; ja przynajmniej i jednych i drugich poważam, cenię. Nic nie szkodzi, że w tej materji nie było i niemasz zgody, kiedy w tylu innych rzeczach jedno chcieć i myśleć możemy. Mniejsza wreszcie o gołe nazwiska, których rzetelne znaczenie gdzieindziej w tym piśmie roztrząsnę. Dość, że przez czas niejaki za hasło dwum przeciwnym służyły stronnictwom, których dysputy, czy potocznej,

czy piśmiennej, zdaniem moim, nikt osławiać nie powinien.— W całym toku tej sprawy nic nie było nagannego, niedopiero zdrożnego. Że się przez to rozchwiała, jak mgła przemijając, reputacja niektórych gładkich rymotwórców, niewielka szkoda. Z innej strony cieszyć się powinniśmy z tych pierwszych targów w rzeczach gustu, z tego estetycznego u nas sektarstwa; bo kiedy publiczność do takich rozrywek starań przykład, już to samo oznacza niemały postęp kultury. Jak w religji, tak i w literaturze pożyteczniejsze jest gorliwe uporne nawet przy swoim obstawanie, od owej na wszystko obojętności, która, jeżeli z obyczajów zmazanych jakąś skazą nie pochodzi, najczęściej bywa znakiem umysłowej niemocy. Wspomnijmy sobie, że przed niewiele laty nikt prawie u nas o literaturze nie pisał, a rzadko kto niósł jej wspomnienie choćby gruntownym tylko o jej wielkich i licznych potrzebach rozmyślaniem. Tę sprawę przezorności krytyków i filozofów ślepemu niemal zlecono trafowi; dzisiaj stała się ona sprawą narodu, rzeczą wszystkich chęci i wszystkich usiłowań, rozmów. Zważmy także: że entuzjazm w popieraniu wszelakich opinji, nie gwoli osobistej korzyści i pożytkowi prywatnemu, zawsze okazuje pocziwe serce i myśl wspaniałą. Zaiste, daleko lepiej rzucić się wątpliwym zdaniem w tej mierze, choćby nawet omyłne było, jak żadnego nie mieć! Nasuwa się tu uwadze mojej przepis ateńskiego ustawodawcy, skazujący na grzywnę tych mieszkańców rzeczypospolitej, którzy w rozterkach domowych do żadnego stronnictwa należeć nie chcieli.—Prawdziwej harmonji tak potrzebna zgoda, jak waśń i rozstrojenie. Światła polemika pożytecznie służy piśmiennictwu.“

ADAM MICKIEWICZ.

Rzecz o Literaturze Słowiańskiej wykładana w Kollegjum francuskiem.

(Wyjątki). ¹⁾

Pomimo, że wyjątki, które poniżej przytaczam z kursu Mickiewicza, nie w zupełności nadają się do podręcznika, przeznaczanego głównie dla szkół średnich, uważam jednak za

¹⁾ Według wydania S. H. Merzbacha. Warszawa 1858 r. Pisownia dawniejsza zachowana jedynie w nagłówku.

rzecz wielkiego pożytku zaznajomienie czytelników z indywidualnymi poglądami tak gienjalnego umysłu, jakim był nasz wieszcz narodowy. Wyjątki wzięte są z wykładów 1842 i 43 roku.

„Epoka Stanisława Augusta ¹⁾ może niewiele nas zajmować; jest to epoka mało słowiańska i mało nawet narodowa; dla Słowian w powszechności nie ma ona ważnego interesu, a dla obcych nie nastrocza uczących widoków. Dosyć poznać parę ludzi, którzy w niej górują, żeby mieć wyobrażenie o całym orszaku ich naśladowców.....

W owym to czasie Stanisław August utworzył klasę literatów, nieznana dotąd w Polsce, literatów z profesji; zachęcał do pisanja, nagromadzał i pielegnował pisarzy, płacił im pensje. Jego szczególnie protegowanym ulubieńcem był Naruszewicz, którego wkrótce zaczął Krasicki, uznany za księżęcia poetów, lepszy od Naruszewicza reprezentant wieku.....

Literatura czasów Katarzyny i Stanisława Augusta ²⁾ oddała wielką przysługę licznej klasie społeczeństwa słowiańskiego; zachowała od nieuchronnej zguby panów polskich i ludzi, zajmujących wyższe szczeble hierarchji rosyjskiej.

Tego wpływu literatury w Rosji i w Polsce dotąd nie postrzegano. Nie podobnego nie przedstawia historia innych krajów, nigdzie nie masz tak wielkiego przedziału między klasami cywilizowanymi i gminem. Po doświadczeniu napadów od hord koczowniczych i ludów zdobywczych, narody te zostały dotknięte napływem obcych systemów i języków. Wiele tylko było w Słowiańszczyźnie ludzi uczących się, badających, ćwiczących swój umysł, to wszystko scudzoziemszczało, klasy cywilizowane poczęły nawet mówić po cudzoziemsku, językiem różnym od języka ludu.

Podniosły się później narzekania na języki francuski i niemiecki, że wynarodowiły szlachtę słowiańską; pisano o tym wiele książek, w komedjach wyśmiewano scudzoziemszczałość mowy. Ale jest to powierzchowny sposób uważania rzeczy. Złe pochodzi nie z języków obcych, krzewi się pierwiej od nich, wszczyna się w wychowaniu. Języka nie można nauczyć, trzeba go wszczepić. Mowa obca nie przyjmuje się bez żywego głosu, giestu, przykładu: książki nie psują narodów, przykład ludzi żyjących zaraża je zepsuciem. Przybysze z Francji i Niemiec wynaradawiali szlachtę, nie przez swój język, ale przez swój sposób nauczania.

¹⁾ Lekcja dziewiąta, 8 marca 1842 r.

²⁾ Lekcja dziesiąta, 15 marca 1842 r.

Guwerner Niemiec, poczynając z dzieckiem od definicji, idąc potem do wniosków i konkluzji, postępując ciągle trybem racjonalnej filozofii niemieckiej, działał sztucznie na jego inteligencję, wpędzał w nią wszystkie siły, rozwijał ją kosztem ducha, przerabiał swego ucznia na zupełnego Niemca. Tak zniemczony duch słowiański, musiał naturalnie i wyrażać się po niemiecku, potrzebował języka niemieckiego, narodowy już mu nie wystarczał.

Guwerner Francuz, który dawał lekcje bawiąc, wydobywał z każdej rzeczy śmieszność, uczył chwytac drobne odcienia wyrazów, układać grę słów, uważać we wszystkim stronę powierzchowną, starać się najbardziej o pokazanie dowcipu, czynił swoich wychowawców Francuzami wewnątrz. Wtedy język francuski stawał się im koniecznie potrzebnym, we własnym nie znajdowali nic, coby mogło oddać ich pojęcia.

Tym sposobem Rosjanie i Polacy, sami tego nie czując, zamieniali się w Niemców i Francuzów. Mnóstwo jest książek w tym przedmiocie pisanych po rosyjsku i po polsku, z udawaniem nawet czystego stylu narodowego, które jednak zupełnie są cudzoziemskimi, nie mają w sobie ani źdźbła słowiańszczyzny. Odtąd zaszedł ostateczny rozbrat między panem a włościaninem; już nie mogli się oni rozumieć: na jedną rzecz patrząc, każdy z nich przyglądał się jej w swój sposób, pojmował inaczej, wykladał różnym językiem.

W Czechach, jedynym w dziejach przykładem, cała klasa cywilizowana stała się wierutnie niemiecką, zapomniała nawet mówić po czesku. Polacy i Rosjanie, nie odstępując jeszcze mowy narodowej, nie mniej jednak byli scudzoziemszczeni jak Czesi niemieccy. Między szlachcicem a chłopem rosyjskim zachodziła taka różnica, jakiej nigdy nie było między baronem a rolnikiem francuskim.

Pierwszy ratunek tym klasom przynieśli literaci ówcześni, podając im dzieła, gdzie obok idei francuskich i niemieckich, obok systemów cudzoziemskich, znalazły jakikolwiek żywioł narodowy; uczyły się choć powierzchownie języka narodowego, miały nawet powód nie zapominać mowy krajowej. Tym sposobem literatura wydzwignęła je na wierzch, otworzyła im drzwi do przeszłości ojczystej, nie dopuściła tak scudzoziemszczeć, jak Czesi, którzy obrócili się w Niemców....

Podług wyobrażenia ¹⁾, jakie mamy o charakterze Słowian, zachowującym się najczyściej w ludzie prostym, znajdujemy tylko jednego pisarza za czasów Stanisława Augusta, który może zasługiwać na tytuł poety słowiańskiego. Jest nim Franciszek

¹⁾ Lekoja jedenasta, 19 kwietnia 1842 r.

Karpiński, poeta rzeczywiście bardziej ogólnie słowiański, niżeli narodowy polski.....

Po rozpatrzeniu poszczególnych utworów poety, Mickiewicz dodaje: „Cała poezja Karpińskiego nosi na sobie cechę miejscowości krajowej i obecnego czasu. Byłoby rzeczą bardzo zajmującą rozbierać pojedynczo utwory tego pisarza i porównywać je z pieśniami poetów serbskich albo Czarnogórców; ale mając na względzie ogół literatury słowiańskiej, wypada sądzić go z innego stanowiska, rozważyć jak w nim wydaje się idea narodu i wieku, zastanawiać się jako nad poetą religijnym i politycznym.....

W Polsce ¹⁾ myśl narodowa, która przez wiele wieków wydawała tylko wiersze różne, ułamki poematów, zakwitła razem w dziełach zupełnych i znakomitych, a filozofja, chwytając się idei poetyckich, poczęła snować z nich teorie i nawet umyśły spekulacyjne pociągnęła tą drogą w przyszłość. Wzięto się formułować filozofję socjalną, i tym sposobem skupiono niejako naród koło jednej idei, koło idei nie weszłej jeszcze w rachunki materialnego bytu, słowiańskiej przez masę ludności, w której spoczywa, i nieznanej od cudzoziemców. Będziemy tedy rozważali pochod i rozwijanie się tej idei narodowej.

Możemy opuścić całą historję literatury kongresowego królestwa Polski, jakkolwiek bogatą w szczegóły.

Zastanowimy się tutaj nad jednym tylko pisarzem tej epoki, która rozpoczyna epokę nową; mamy mówić o Brodzińskim.

Kazimierz Brodziński był naprzód wojskowym i zawód swój literacki rozpoczął od poezji w rodzaju legiońskiej. Po upadku Napoleona usunął się od życia politycznego, widocznie ogarniony zwątpieniem. Nie ufał już w zapał, w entuzjazm narodu, ograniczył się zupełnie sferą artystyczną, zamierzył sobie być poetą narodowym, słowiańskim. Zstępując nawet w głąb Słowiaństwa, przeszedł w tym Karpińskiego, został Słowianinem naddunajskim. Z zamiłowaniem opiewa życie wiejskie, rolnicze, domowe; kreśli obrazy sielskie, naśladuje piosnki gminne; z niejaką bojaźnią pogląda na zjawiska w dziedzinie sztuki ówczesnej: lęka się mówić o Byronie, przeraża go myśl o wpływie, jaki ten gienjusz potężny może wyrzucić na ognisty umysł Polaków. Chciałby on widzieć Polskę cichą, spokojną, oddaną rolnictwu. Odczarowany, strwożony, znękany widokiem ostatniego losu Napoleona, wyrzeka przeciw entuzjazmowi, potępia egzaltację. Publiczność uwielbiała jego dzieła jako wyborne pod względem artystowskim; literaci cenili jego roz-

¹⁾ Lekoja dwunasta, 14 czerwca 1842 r.

prawy pełne erudycji i nauki, obwołano go naczelnikiem szkoły, którą nie wiedzano jak nazwać i nacechowano imieniem romantycznej; ale masa narodu była głucha na głos Brodzińskiego, nie obudzał on w kraju najmniejszego wzruszenia, a wkrótce zupełnie opuszczony od czytelników, stał się przedmiotem pocisków młodzieży, wymierzonych czasem niesprawiedliwie.....

Pozostaje nam ¹⁾ przejrzeć historję dziesięciu lat ostatnich przed 1830. Epoka ta jest bogata i trudna do traktowania. Nie mamy już tu imion własnych, około których szykowałyby się zjawiska osobne. Polska w tym czasie widzi u siebie powstających wielu pisarzy; pierwszy popęd do tego dały prowincje: jest to ruch życia prowincjonalnego, które było stłumione przez życie polityczne, drga w nim pierwiastek gminny, rozwinęty pod warstwą szlachecką.

Ponieważ chodzi nam o charaktery ogólne dla odkrycia cudnej jedności, w jaką zlewają się utwory literackie z teorjami filozoficznymi, będziemy brali tylko fakty główne.

Dwie szkoły poczęły teraz odznaczać się w literaturze polskiej: litewska i ukraińska. Poeci litewscy pierwsi wprowadzają do literatury świat duchów, szukają w tej krainie tajemnych sprężyn wszystkiego, co się dzieje na ziemi. Pani Jerzy Sand w artykule swoim, poświęconym rozbirowi dzieł jednego z autorów tej szkoły, obejmuje cały jej charakter tą uwagą, że „pisarze litewscy stawiają środek działania w świecie duchowym, a świat widomy i ludzi mają tylko za narzędzia.“ Taż sama dążność postrzegać się daje w szkole ukraińskiej. Nie idzie ona tak daleko jak litewska, zawsze jednak przypuszcza nieustanny wpływ tamtego świata na świat ziemski. W każdym poemacie obu tych szkół można rozróżnić dwie strony: dotykającą i tak zwaną fantastyczną, to jest duchową. Szkoła ukraińska porzuca błędną wędrówkę dawnej poezji polskiej, nie szuka już swoich behatów między mężami politycznymi, sławi wodzów ludu, wydobywa imiona dotąd nieznane w literaturze, staje się nade wszystko popularną.

Ten kierunek Litwinów i Ukraińców nie podobał się bardzo szkole dawnej, reprezentowanej przez publiczność warszawską. Krytyka okrzyknęła tę nową literaturę za napad barbarzyństwa, i w rzeczy samej była to wojna przeciw klasie cywilizowanej, bezsilnej już i jałowej.....

Terazniejszość słowiańska ²⁾ rozstaje się ze swoją przesz-

¹⁾ Lekcja trzynasta, 17 czerwca 1842 r.

²⁾ Lekcja szesnasta, 10 stycznia 1843 r.

łością, nie potępiając jej ani czerniąc. Ten uśmiech wzgardliwy szkolarzy i mędrków nowoczesnych, z jakim inne literatury odwracają się od wieków poprzednich, nie daje się postrzegać na obliczu literatury słowiańskiej, przynajmniej w dziełach znakomitych jej pisarzy; owszem czule i z miłością poglądają oni na upłynione dzieje swojego rodu, z serdecznym żalem oplakują nietylko nieszczęścia, ale i winy przodków.

Przytoczmy tutaj przedśpiew czyli wstęp Kollara do jego sonetów. Jest to najpiękniejszy z jego wierszy i, jak się zdaje, napisany na ostatku. Patrzymy, jak on mówi o swojej ziemi rodzinnej i o wspomnieniach, spoczywających na niej.

„Ach, oto tu leży przed łzawym mym okiem ta ziemia, niegdyś kolebka, teraz trumna mojego rodu. Stój nogo! gdziekolwiekbyś stąpiła, wszędzie to poświęcone miejsca. Wznies, synu Tatrów, wzrok twój pod obłoki, albo raczej oprzyj się o ten dąb odwieczny, co aż dotąd nie podał się zgubnemu czasowi. Ale gorszy niżeli czas jest ten człowiek, który w tych krajach żelaznym berłem przytłoczył karki Słowian. Sroższy od wojen, od ognia, od piorunów zaślepieniec, który swoje plemię spotwarza. O wieki dawne, jak noc wokoło mnie leżące, o kraino, wszelkiej sławy i hańby obrazie! Od Łaby zdradzieckiej aż ku równinom Wisły niewiernej, od Dunaju aż do rozchełtanych pian całego Bałtyku, brzmiała niegdyś wdzięczna mowa mężnych Słowian, nim oniemiała, stawszy się narzędziem kłótni. Któżto popełnił te grabieże, wołające o pomstę do nieba? Kto w jednym rodzie znieważył całą ludzkość? Zarumień się, Teutonio, zawistna sąsiadko Sławy. Twoje to ręce narobiły tych wszystkich zbrodni. Żaden nieprzyjaciół nie wylał nigdzie tyle krwi i czernidła, ile Niemiec na zgubę Słowian. Ten, co sam go-dzien jest wolności, umie szanować wolność innych; ten, co drugim narzuca pęta niewoli, sam niewolnik. Czy on ręce, czy język krępuje w niewolnicze swe okowy, wszystko to jedno; równie bowiem depcze prawa cudze. Kto trony burzył, kto ludzką krew napróżno rozlewał, kto nieszczęsną pochodnię wojny po świecie roznosił, ten, czy to Got, czy Scyta, na niewolę zasłużył, nie zaś ów, co przykładem swoim dzikim hor-dom pokój zalecał. Gdzieżście się podziały, lube narody Słowian mieszkających tu niegdyś, narody, co tam z Pomorza, tu z Sali piły wodę? Gdzie ciche konary Serbów, gdzie potomki Obotrytów, gdzie szczepy Weletów, gdzie wnuki Ukranów? Daleko pozieram na prawo, bystro rzucam wzrok na lewo, i darmo oko moje szuka w Słowiańszczyźnie Słowian. Powiedz, dębie, cienisty przybytku, pod którym płonęły ofiary starodawnym ich bogom, gdzie są te narody, gdzie ich książęta, ich miasta? One przecież pierwsze ożywiły te strony północne. Je-

dne nauczyły ubogą Europę, jak robić żagle i wiosła, jak przez morza pływać do bogatych brzegów. Drugie z głębin kopalni wydobywały błyszczące kruszce, bardziej ku czci bogom, niżeli dla zysku ludziom. Te pokazywały rolnikowi sposób uprawiania ziemi, żeby wydawała plon złoty. Tamte wysadziły drogi lipami, żeby to drzewo słowiańskie orzeźwiała przechodnia chłodem i zapachem. Mężowie uczyli synów budować miasta, w nich prowadzić handel; kobiety z córkami swemi tkwały płótna. Narodzie mistrzowski, i jakież za to masz teraz dzięki? Oto wieniec uwity z potwarzy i wżgardy. Jak kiedy szerszenie, poczuwszy woń miodu, wpadają do cudzego ula i matkę i pszczoły gryzą na śmierć, tak tutaj sąsiad, wkradłszy się chyttrze, zarzucił panu łańcuch na szyję i uczynił go niewolnikiem w jego własnym domu. Umilkła pieśń słowiańska po zielonych gajach... Język, obyczaj, strój narodowy, wszystko to cudzoziemiec zmienił, sama tylko ziemia pozostała niezmienną. Lasy, rzeki, góry, uroczyska, nie chciały pozbyć się swoich imion słowiańskich. Ale to jest ciało, ducha w nim nie masz. O kóż przyjdzie w tych grobach zbudzić drzemiące życie? Kto prawemu dziedzicowi jego własność przywróci?... Zimne ten miałby serce, coby tu nie płakał, jak nad zwłokami kochanki. Utulmy jednak żal i zamglony wzrok rzućmy w lepszą przyszłość. Najgorzej w niedoli narzekać na niedolę; lepiej czynem ukajać gniew nieba. Nie ze smutnego oka, ale z dzielnej dłoni rozkwita nadzieja. Złe na dobre wyjść może. Ludzie mogą zbłądzić z drogi, ludzkość prostym torem idzie do celu. Czas wszystko odmienia, nawet czasy, a prawdzie daje zwycięstwo. Co sto błędnych wieków budowało, to jedna chwila obali."

Kollar tedy uchodzi na Karpaty, i tam pod dębem starożytnym, tkliwie rozpamiętywając przeszłość słowiańską, kończy swoje poezje. Wieszcza, że co sto błędnych wieków budowało, to jedna chwila obali, jest ostatnim jego słowem.

Poeci polscy najpóźniejszych czasów, twórcy szkół prowincjonalnych, żegnują się także z przeszłością, tylko w inny sposób, niż Kollar. Goszczyński w swoim Zamku Kaniowskim ostatnią walkę Kozaków z Polakami zamyka następnym epilogiem:

Gdy duch mój zwiedzał dnieprowe pobrzeże
I na Kaniowa odpoczął ruderze,
Jeszcze tam w koło wyszukał on ślady
Dnia okropnego ostatniej zagłady:
Jeszcze po ścianach krew się czerwieniła,

Gdzie żona, gnana morderców pogonią,
Mytą w krwi męża chwytiała się dłonią;¹⁾
Żadna wywabić nie mogła jej siła,
Na miejscu startej inna wystąpiła;
Ale nieszczęsne zabójczyni ciało,
W popiół przetłale, z wiatrem się rozwiało.
W porosłej miękką murawą uboczy
Trafił na kołtun Kseninych warkoczy
Ale w nim drobny gnieździł się już ptaszek.
Obok leżała z Nebaby ratyszczka,
Stal od płomienia, w ciemny żużel zlana.
A błaząc długo wśród skośniałych czaszek,
Odgrzebał torban, między gruzem zgliszczka,
I jedną strunę z całego torbana.
Ani lat, ani pogody koleje
Nie mogły przyćmić złotego jej blasku;
A wiatr, kochanek, z pobliskiego lasku,
Co noc z nią dawne odśpiewywał dzieje.

Widzimy tu poetę niemal obojętnie już traktującego przeszłość. Istotnie, zdaje się, że w duchu patrzy na tę walkę, którą opowiada bez politowania, bez smutku. Dumę pana polskiego, zjadłość kozacką, okropne gwałty i rzezie opisuje spokojnie, jak gdyby to zgoła go nie obchodziło, jak gdyby był bezstronnym świadkiem; naostatek wszystko niszczy wielkim pożarem. Mówiliśmy, że Zaleski zamknął widowisko poezji słowiańskiej świetnym i różnobarwnym fajerwerkiem; można powiedzieć, że Goszczyński podłożył ogień pod starożytną jej budowę. Spalili oni dawne podania, pożegnali rodzinną krainę, puścili się w nieoznaczoną, niepewną przyszłość, unosząc tylko po jednej nici, po jednej strunie, wiążącej ich z narodową poezją polską; pierwszy zaczepił się o jej ogniwo religijne, drugi zawisł na politycznym.

Żeby mieć zmysłowe wyobrażenie pochodów poetów i literatów całej Słowiańszczyzny, trzeba sobie wystawić mnóstwo wędrowców, z rozmaitych stron widokregu zdążających mimo własnej wiedzy do jednego punktu. Wszyscy oni bez wyjątku porzucili przeszłość bądź z rozpaczą, bądź z żalem, bądź obojętnie; wszyscy pną się na górę, a chociaż niektórzy są wyżej, można przewidywać, że się zejdu u wierchołka. Chwilę tego rozstania się z przeszłością jużśmy oznaczyli: hasło dał By-

¹⁾ Można powiedzieć, że historia niewiasty w poemacie Goszczyńskiego o zabiciu swego męża i sama zginęła, jest historią Ukrainy.

ron. Najbliższy jego, poeta polski Malczewski wydaje też jeszcze jęk rozpacz, rzuca się przeciw całemu społeczeństwu, nie widzi nic godnego usiłowań na ziemi „gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda.” —

Po Malczewskim tuż idący Puszkina, ciągle w rozmaity sposób wraca do tejże myśli, narzeka, że wszystko, o czym marzył za młodu, do czego wzdychał, o co się ubiegał, miłość, wolność, sława — wszystko go zawiodło, że nareszcie nie widzi już, czegoby mógł życzyć, że nie ma celu przed sobą: „celi net peredomnoju.” Odtąd, jak sam powiada, pisze tylko dlatego, żeby rozerwać się w nudach, żeby kilka kwiatów sobie na grób rzucić. Poeci polscy, skończywszy opiewać przeszłość, znaleźli na drodze religijnej i politycznej nową sferę działania, rozwidniającą się szybko w poezjach Garczyńskiego, Zaleskiego, Goszczyńskiego; Puszkiniowi zabrakło siły pójść dalej, nie było dla niego przyszłości, chociaż czasem ją przeczuwał. To zdanie nasze o nim znajdujemy potwierdzone przez krytykę rosyjską. W dziele, któreśmy niedawno otrzymali, znakomity krytyk Polewoj mówi także o jego poezji, jako już zapadłej w przeszłość, i dodaje, że duch świata ją pożarł.

Przytoczymy jeszcze kilka zwrotek nowego poety rosyjskiego Chamiakowa, ogłoszonych w przekładzie francuskim przez jedno z pism periodycznych (*La revue des deux mondes*). Jestto wiersz do Napoleona. Puszkina także napisał wiersz o Napoleonie; zobaczymy różnicę, jaka zachodzi w sposobie czucia tych dwóch poetów. Poezja Puszkina kończy się słowami: „Niech piętno hańby będzie położone na czole tego, kto by śmiał uragać się cieniowi jego odartemu z carskiego wieńca. Chwała jemu: on pokazał Rosji wielkie jej przeznaczenie, on z ciemnicy swego wygnania zwiastował światu wolność wieczystą.”

„I miru wiecznuju swobodu
Iz mraka ssyłki zawieszczal.”

Widać tu jeszcze przedewszystkiem uczucie narodowości rosyjskiej, przypomina się dźwięk poezji Dierżawina; można przytym dostrzec myśl, trafiającą już na przyszłość w tych wyrazach, że Napoleon zwiastował światu wolność: ale Chamiaków pojmuje rzecz daleko wznioślej, daleko powszechniej.

„Napoleonie, — mówił on — nie moc ludu cię wywyższyła, nie cudzoziemska wola włożyła ci koronę. Panowałeś, walczyłeś, zwyciężałeś, namaszczyłeś swe czoło własną potęgą.”

„Nie siła ludzka cię obaliła, nie miałeś współzawodnika

równego tobie. Ten co zakreślił granice oceanowi, ten miecz twój zdruzgotał w boju.”

„Znikła za obłokami gwiazda na ściemniałym niebie; wielkość ludzka w proch upadła. Powiedz, czy nowa zorza nie poczyną już świtać, czy nowy plon nie odrodzi się z popiołów? Przemów! świat w trwodze i upragnieniu oczekuje potężnej myśli, potężnego słowa.”

Wypada nam przypomnieć, żeśmy przeszłego roku powiedzieli to samo i niemal w tych samych wyrazach, mówiąc o Napoleonie i jego wpływie na ludy słowiańskie. Pomyliliśmy się tylko, zapowiadając koniec poezji rosyjskiej: poezja ta drgnęła teraz nowym życiem. To uroczyste odezwanie się do cienia Napoleona, to błaganie, żeby odkrył Europie przyszłość, pokazuje, że Rosjanie myślący pozbywają się już przesądów grubej miłości własnej narodowej, schodzą z ubitego toru, że łączą się z dążnością europejską, oddając cześć człowiekowi Europy, człowiekowi naszego globu.

Przyszliśmy tedy do chwili, kiedy poezja słowiańska jest w powszechnym oczekiwaniu wielkiej myśli, wielkiego wypadku. Na zamknięcie tego skreślenia jej biegu, które musieliśmy zrobić jako wstęp do rozbioru dzieł, zostawionych na stronie, położyliśmy wiersz Goszczyńskiego, pokazujący dziwnie blizki związek jego pojęć z pojęciami przywiedzionego dopiero poety rosyjskiego.

Przeznaczenie gienjusza.

Na toż powstają Gienjusze
W wiecznej bytu zawierusze,
Aby błysnęły kometą
I potym zgasły bez śladu?
Możnaż, aby twórca ładu
Bezczelną zamknął je metą?

Tutaj, gdzie pyłek jest świata ogniwem,
Oneż się tylko wieków zatraca

Z całych wieków pracą,
Z plemion podziwem?

„Chwała światłości i cnocie:
Hańba złemu i ciemności!”
Zawoła szkielet mądrości,
Groźny anioł-stróż przeszłości,
Wielki prorok z doświadczenia,
Który nad wieków prochami,
Liczy chwile kolejami
Bytu i zniszczenia.

„Kto obecność pojąć pragnie,
 Ku przeszłości ducha nagnie,
 Ledwo drobny świat człowieka
 Zaczął swój obrót w światów kołowrocie,
 Dumny przy swojej lichocie,
 Z dróg wytkniętych wnet ucieka,
 I gaśnie w ciemnocie.”
 Przeknęła mądrość w twórcy osobie,
 I tchnęła z boskich piersi, i Gienjusz w tej dobie
 Szedł na ziemię otwarcie,
 I śmiertelnym przyniósł wsparcie.
 I już odtąd wiek po wieku,
 Jak tylko bóstwo przygasa w człowieku,
 A ciało duszę ugniata,
 Wcielony Gienjusz złata,
 I zapaśnik ludzkości ludzkości imieniem
 Walczy z nocą i spodleniem,
 Aż wrogów duszy obali;
 A świat tymczasem pomyka się dalej.
 Chwała wam, mężo wyższego natchnienia!
 Że dusza żyje przez wasze zjawienia,
 Jak biciem krwi ciało żyje,
 Że przez was wśród tego cienia
 Zegar mądrości idzie i bije.

Teraz dopiero wolno może dać wyrok w sprawie romantyków z klasykami. Nie pojmowano dawniej jak daleko sięgał ten spór, długo toczący się po dziennikach francuskich, polskich, a nawet czeskich. Oto godzono na to, żeby odebrać wyłączone posiadanie sławy reprezentantom dawnego porządku rzeczy w literaturze. Nie zarzucono im braku nauki, niedostatku znajomości teoretycznych, nie przeczono, że legalnie posiadali krainę literatury, że mieli prawo nią administrować, ale dopomniano się o natchnienie, zapytano o dowód, na mocy czego panowali. Żeby panować, żeby rządzić, niedość już było pochodzić z familii literackiej, albo odbyć nauki w jakiej szkole, trzeba było pokazać gienjusz. Ludzie nie chcieli już kłaniać się niczemu więcej, jak tylko temu, co godne czci, co nosi na sobie cechę gienjuszu. Odmawiano człowiekowi prawa kierowania rozumem i uczuciem bliźnich, jeśli nie udowodnił swojej wyższości dziełem, świadczącym o jego sile nadzwyczajnej. Znaczyło to koniec dawnego świata, początek nowego. Reforma ta była radykalnością, głębszą, od reformy przedsiębranej w polityce. Szkoły polityczne mniemały, jak wiadomo, że byleby dopuścić masy do zawiadywania własnymi interesami, potra-

fią one same rozwiązać całą zagadkę; szkoła literatury nowej, obalając dawny stan rzeczy, chociaż była pewna mieć kiedyś po sobie ogół, nie spuszczała się na jego wyrok, dobywała siłę z samej siebie, z wnętrza ducha ludzkiego. Co więc stanowi początek literatury ostatnich czasów, to owe odwołanie się do gienjuszu, do natchnienia.

Początki romantyzmu.

(Z „Dziejów Literatury Polskiej“ prof.
 dra Aleksandra Brücknera 1903 r.).

Mimo wszechmocy klasyczności cora się mnożyły zjawiska, obce i swojskie, wieszczące rychły jej upadek; z obcych literatura niemiecka, a w dalszym rzędzie angielska, pozbawione oddawna więzów pseudoklasycznych, musiały działać na ościenią, polską, skoro i Francuzi sami, przez usta pani de Staël, na nią uwagę zwracać poczęli, a szkoły pruskie i austrijskie z oryginałami zapoznawały. I zaczął się po raz pierwszy objawiać wpływ literatury niemieckiej na polską.

Dotąd nie znano go zupełnie. Uczono się u Niemców (ich przedstawicielami byli tacy ludzie, jak bracia Bandtkowie, Linde, Grodeck, Kaulfuss i inni), tłumaczono ich dzieła, agronomiczne albo lekarskie (Hufelanda), lecz i w podręcznikach przeważały francuskie; nie znano zupełnie, ani ceniono ich poezji i prozy; w przekładach utykano na Hallerze i Kleiście, na Gellercie i Gesnerze, na gramatyce Gottscheda; teatr tylko, głównie niedzielny, nie zamykał się przed niemi; p. Kotzebue grasował w Warszawie, jak w Petersburgu; o Lesyngu, Szylerrze i Getem — prócz rzeczy dramatycznych, nie nie wiadzano. Późno zaczęły się i z nich pojawiać przekłady, luźne, nie zapowiadające jeszcze żadnego przewrotu. Nawet o metafizyce niemieckiej zaczęto rozprawiać, i już Józef Szaniawski polecał (r. 1805) czytanie filozofów niemieckich, a krakowski profesor filozofii, Jaroński, śmiał nawet Kondyllakiem i jego logiką pomiatać.....

..... Klasycyzm sam sobie grób wykopał, choćby tylko powtarzaniem szablonu, datującego od lat niemal dwu tysięcy, zakuwaniem ducha żywego w formy martwe. Gdyby ten szablon i te formy zadawały w czymkolwiek wymagania uczucia i fan-

tazji! Świat nowoczesny odmienił się najzupełniej: osadzonym wyłącznie na ziemi i bycie doczesnym ideałom poganina, gardzącego rączną pracą, jako poniżającą człowieka, przewodzącego miłośniernie nad niewolnikami i nad kobietą, uznającego wśród otoczenia tylko ziomek najbliższych za ludzi i bliźnich, wśród władz umysłowych — rozum jedyny, przeciwstawiał on ideały chrześcijańskie, braterstwa ludów, swobody i równości płci i stanów, poszanowania pracy, uznania praw uczucia i serca; odrywał się od więzów ziemskich; upadały szranki antyku, roztkliwiały się serca, delikatniały uczucia np. honoru; obok człowieka wystąpiła przyroda, dla której antyk zmysłu nie posiadał, traktując ją wyłącznie, jako dekorację. Na miejsce szablono antycznego, kosmopolitycznego i jednostronnie intelektualnego, realistycznego, domagały się ludy czy indywidua psychicznej analizy głębszej, poszanowania przeszłości własnej, zniesienia klątwy, ciężącej na wiekach „średnich”, urozmaicania cechami swojskimi myśli, obrazów i mowy, skruszenia bałwanów płytkiego realizmu i mądrości zdawkowej, dążenia ku ideałom choćby nieziemskim, ku celom wszechbytu, badaniu rzeczy niezbadanych. Samym wyrafinowaniem kultury, ujednastajniającej wieki i strefy, dawno gardzono: oddalano się od niej do niewymuszonej, naturalnej prostoty i szczerości; sama miłość ojczyzny przybierała inne formy, z miłości kraju i ziemi przetwarzała się w miłość ludu i gminu, niedawno nieuznanego za ludzi, w miłość tradycji i języka własnego.

Wzbierały krępowane uczucia i fantazja; klasycy, jak Russo i Makpherson jeszcze w połowie niemal wieku nowe wskazywali tory, za niemi wychylał się Szekspir i Włosi, a z klasyków nawet, oryginalni Grecy, zasłaniali i przyćmiewali zupełnie Rzymian — naśladowców. Zwrot ku narodowości, niezadowolnienie formami życiowymi, pragnienie ideału, rozdarcie i tęsknota duszy nowoczesnej, tęskniącej ku sferom nadziemskim, obce i wrogie równowadze spokojnej a płytkiej antyku, musiały się wynurzyć w literaturze pięknej. I sprzeniewierzyli się wszyscy, ruchliwi, gorętsi, głębsi bożyszczom klasycznym, rychlej czy później, bez walki lub po walce zaciętej, której starzy choćby środkami policyjnemi (np. we Francji petycjami do króla o ochronę Parnasu) napróżno tamę przeciwstawiać chcieli.

Najłatwiej porzuciła literatura niemiecka, która w pseudoklasycznym kierunku ani Rasysem ani Popem się nie uwieczniła, ten kierunek na zawsze i stworzyła w Getym i Szillerze, nie mówiąc o Lesyngu, ich zwiastunie krytycznym, nową klasyczność, szczytniejszą, bardziej narodową, chociaż na greckich wzorach wyrosła, a tym samym wywołała kroki dalsze do zu-

pełnego rozwichrzenia romantycznego, do przesady fantastycznej, do uczuciowości nadtkliwej, do jednostronnego uwielbienia wieków średnich, do szukania ideałów, „kwiatu niebieskiego.”

Ważniejszym stawał się wpływ innej literatury niemieckiej, angielskiej. Ani rwący się ku ideałom Szyler, ani Olimpijczyk Gete, unoszący się w pozornej harmonii wszechbytu, głusi na krzyk sumienia i ślepi na otaczającą nędzę, niesprawiedliwość i podłość, oddzielający ściśle świąteczną sferę dumań i pragnień od życiowej, codziennej, nie mogli słońdować natury słowiańskiej, gorętszej, rwącej się do czynu, niezaspokojonej owym rozdziałem pedantycznym między rzeczywistością a marzeniem. Oddziaływał na nią głębiej, wszechstronniej Bajron. Barwność i tajemniczość opowiadań jego, piorunujące wzywania do boju w imię ideałów, szyderstwa i skargi na ospałych i obłudnych, jawne rozdarcie duszy, niezadowolenie straszne, do pesymizmu ostatecznego i zwątpienia prowadzące, porwały młodzież, odczuwającą głęboko to rozdarcie i tę tęsknotę czy to dla przejść i walk osobistych czy dla jawnych niesprawiedliwości społecznych i politycznych, gardzącą spokojem i równowagą stróżów porządku i rozsądku, czcicieli jedynej maksymy: miary. Szyleromanja ustąpiła bajromanji, tkliwa idealizacja namiętnym wybuchom skarg i żalów, a najazd ten na warszawski parnas klasyczny dokonał się nie bez przygotowania, przechodził pewne fazy.

Kilka słów o romantyczności polskiej.

(Z pracy Piotra Chmielowskiego: „Sobótka“ Studja i Szkice Kraków 1890, Serja I).

Wiadomo, jaki przełom w estetycznych pojęciach nastąpił na początku 19 stulecia; wiadomo również, że pojęcia te i utwory w ich duchu powstałe nazwano romantycznymi, przeciwstawiając je wszystkim poprzednim, albo wprost, jako klasycznym, albo jako klasycznym i konwencjonalnym. Nazwy te mają służyć za charakterystykę dwu (lub trzech) rodzajów poezji, poparte teoretycznie i praktycznie pismami takich autorów, jak Brodziński, Śniadecki, Mickiewicz, Mochnacki i Gra-

bowski, pomimo większych lub mniejszych różnic pomiędzy temi autorami zachodzących, utarły się w naszym piśmiennictwie i dość długo były hasłem, pod którym walczyły dwa przeciwne obozy.

Tymczasem dalszy rozwój poezji, który już po teoretycznych określeniach nastąpił, dowiódł, że jak nazwa klasycyzmu nie odpowiadała w zupełności charakterowi naszej poezji od wieku XVI do początków XIX, tak i miano romantyczności bynajmniej nie charakteryzowało nowej epoki poezji. Jak bowiem w dawnej twórczości odróżnić należało dwa wyraźne okresy, z których jeden obejmował utwory pod przeważnym wpływem autorów greckich i rzymskich powstałe, a drugi nie zatarte ślady wpływu francuskich poetów na sobie nosił, tak i nowa poezja, puściwszy się z początku na tory romantyzmu niemieckiego (w balladach, powieściach i dramatach *sui generis*), znalazła wkrótce rodzinne swe niwy i na nich bujnie a samoistnie zakwitła. Określenia tedy klasyczności i romantyczności okazały się wkrótce ciasnemi, a co ważniejsza właściwemi jedynie pewnym pojedyńczym chwilom. I jeżeli chwile te dla klasycyzmu liczyły się na wieki, to dla romantyzmu zaledwie na lata, mało co dziesiątkę przewyższające. Pomimo to nazwa owa, raz się zakorzeniwszy, nie mogła być wyrwana do szczytu, a pojęcia do niej przywiązane coraz bardziej stawały się chaotycznemi, nie znajdując w literaturze ścisłego i dokładnego wykładu. O romantyczności można jedynie rozprawiać, jako o chwilowym przejawie historycznym; pierwiastki atoli świeże, które do poezji wniósł ruch umysłowy, na początku obecnego stulecia u nas wzbudzony, należą tak dobrze do dziejów, jak i do chwili obecnej, gdyż i dzisiaj jeszcze swego znaczenia nie straciły. Oznaczenie tych pierwiastków ze ścisłością i dokładnością naukową powinno być zadaniem naszych czasów.



197262

197 262

773218

1920 — DRUKARNIA M. ARCTA
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.
